

wysokie obcasy

wyborcza

10 / Kultura

Alice Diop.
Historie
z paryskich
przedmieść

20 / Życie lepiej

15-latka
na odwyku

Justyna
Sobczyk,
twórczyni
Teatru 21

rozmowa Natalii Waloch

Czy mogę się pogapić?

PAULINA
REITER



Bylaam kiedyś świadkiem takiej sceny. Po zajęciach jogi dziewczyna podeszła do starszego od niej mężczyzny i zwróciła mu uwagę: „Pan się na mnie przez całe zajęcia gapił”. Próbował zaprzeczyć, jednak ona nie ustąpiła: „Przecież wie pan, o czym mówię, prawda?”. Opisałam tę scenę na swoim profilu na Facebooku, pisząc z podziwem o tej dziewczynie, że miała odwagę skonfrontować się z tym panem. Wpis wywołał lawinę komentarzy i bardzo ciekawą dyskusję. Wiele osób stanęło po stronie młodej kobiety – ma prawo ćwiczyć bez poczucia, że jest podglądana. Zwłaszcza że dla wielu kobiet takie spojrzenie jest sygnałem, że są obiektem seksualnym. Jesteśmy nauczone, że gapienie się to zagrożenie, początek większych kłopotów. Ale wiele osób stanęło w obronie mężczyzny i jego prawa do patrzenia, na kogo tylko zechce w przestrzeni publicznej.

W jednym z komentarzy pod moim postem Justyna Sobczyk – bohaterka z naszej okładki, reżyserka, jedna z najbardziej rewolucyjnych figur współczesnego polskiego teatru – poleciła mi książkę „Gapienie się, czyli o tym, jak patrzymy i jak pokazujemy siebie innym” Rosemarie Garland-Thomson. Kupiłam ją sobie i przeczytałam. To genialny esej o gapieniu się napisany przez prekursorkę kulturoznawczych studiów nad niepełnosprawnością, która bada niepełnosprawność jako jedną z form ludzkiej różnorodności. Badaczka ta występuje w obronie wzajemnego gapienia się na siebie i poznawania dzięki temu naszej inności. Udo-

wadnia, że gapienie się jest naturalnym impulsem poznawczym, aktem ciekawości, wyrazem dążenia do poznania i wiedzy. Jest reakcją mózgu, gdy bodziec wizualny nie umożliwia rozpoznania tego, co widzimy. Autorka przypomina, że ten, na kogo patrzymy, również ma władzę – po pierwsze, przyciąga nasz wzrok, po drugie, sam też na nas patrzy, gdy mu się przyglądamy.

Jesteśmy nauczeni, że gdy nasz wzrok spotyka pewną inność, powinniśmy go odwrócić. Nie gapić się. Podręczniki dobrych manier ostrzegają przed niestosownym przypatrywaniem się drugiej osobie. Garland-Thomson uważa, że gapienie się świadczy o zaangażowaniu. Pisze, że to spotkanie, które może mieć twórczy potencjał.

Justyna Sobczyk właśnie to robi. Robi teatr, w którym można się gapić na inność i spotkać się. Stworzyła zespół teatralny złożony z osób z zespołem Downa – Teatr 21 – i odmówiła zamknięcia jego aktorów w „rezerwacji” dla osób z niepełnosprawnością. Odmówiła działania w „ośrodku specjalnym”. Zawalczyła razem z nimi o ich prawo do uczestniczenia w życiu społecznym na tych samych prawach, w tych samych teatrach, w których występują aktorzy bez niepełnosprawności. Mówią do nas z desk scen: patrzcie na nas, gapić się, zrozumcie nas. Mamy prawo tu być. Popatrzcie, przyjrzyjcie się śmiało, poznajmy się bliżej i niech to będzie początek relacji między nami. ♦

Jesteśmy nauczeni,
że gdy nasz wzrok
spotyka inność,
powinniśmy go odwrócić

Paulina Reiter – redaktorka prowadząca



„WYSOKIE OBCASY EXTRA”

Jak się kochamy?

Zadęrczona artystka, odważna feministka czy specjalistka od budowania wizerunku. Bohaterką okładki jest Frida Kahlo. Zastanawiamy się, kim była naprawdę dzisiejsza ikona kultury. Tematem numeru jest współczesna miłość. Ponieważ miłość należy zdefiniować na nowo, szukamy odpowiedzi na pytanie: jak się dziś kochamy? O swoich związkach opowiadają Maciej Sierńczyk, Agnieszka Graff i Michał Piróg. Edukator seksualny dr Alicja Długolecka tłumaczy, że granice naszej seksualności się rozmywają, a orientacja to często kwestia emocji. Wydanie dostępne również z kosmetykiem w prezencie. Egzemplarz z darmową dostawą zamówisz na prenumerata24.pl

www.wysokieobcasy.pl



wysokieobcasy



@WysokieObcasy.pl



wysokieobcasy.pl

listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJA:

Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA

Katarzyna Pawłowska

– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:

Paulina Reiter

KULTURA:

Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska

URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:

Aleksandra Lubańska-Czubak

MODA, STYL ŻYCIA:

Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:

Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:

Katarzyna Trzeszczyńska,

Marta Rozenbajgier,

Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:

Jacek Utko

DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:

Anna Woźniakowska

FOTOLITOGRAFIA:

Paweł Bajer, Lukasz Irzyk,

Mariusz Rosa

PRODUKCJA:

Dorota Jezierska

INTERNET:

szeffowa serwisu

Magdalena Karst-Adamczyk,

Anna J. Dudek, Magdalena Keler,

Agnieszka Mularczyk, Katarzyna

Seiler, Magdalena Stroka-Felicja,

Paula Szweczyk, Natalia Waloch,

Joanna Wróżyńska

INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:

szeffowa serwisu

Aleksandra Mijakoska-Siemion,

Anna Woźniak

KOREKTA:

Małgorzata Mystowska

SEKRETARIAT:

Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:

Agora SA

PREZES ZARZĄDU:

Bartosz Hojka

WYDAWCZA:

Agora SA

SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:

Karolina Jaroszewicz

DYREKTORKA BIURA REKLAMY:

Joanna Kwas

KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:

Katarzyna Obidowska

DYREKTOR MARKETINGU:

Michał Bauer

SPECJALISTI DS. PROMOCJI:

Adrianna Dobrzyńska, Sylwia Wójcik

DYREKTOR KOLPORTAŻU:

Michał Szalański

NAŚWIETLANIE I Druk:

Agora SA Warszawa

ADRES REDAKCJI:

ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa,

tel. 22 555 66 00

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Na stronach 3, 40 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy” nr 27 (1246)

NA OKŁADCE:
JUSTYNA SOBCZYK
FOT. MATEUSZ SKWARCZEK/
AGENCJA WYBORCZA.PL



Lirene
DERMOPROGRAM

DIAMENTOWY LIFTING 3D

+DIAMENTY | RETINOL
24k
ZŁOTO
PEPTYDY MIEDZI



Czuję się pięknie w swoim życiu.

dostępne w sieci

**DROGERIA
SUPER-PHARM** 
Recepta na piękno. Recepta na zdrowie.

Z wiekiem zmniejsza się jędrność i elastyczność skóry, zmienia się owal twarzy. Aby temu przeciwdziałać eksperci z Laboratorium Naukowego Lirene stworzyły unikalną formułę produktów dla której inspiracją był **lifting wolumetryczny** – profesjonalny zabieg, który przywraca objętość skórze.

www.lirene.pl

**POŁĄCZENIE 24K ZŁOTA
Z DIAMENTEM**
redukuje zmarszczki,
zwiększa jędrność i napięcie.

PEPTYDY MIEDZI
poprawiają
elastyczność
i wygładzają skórę.

RETINOL
przyspiesza proces
odbudowy komórek,
i wyrównuje koloryt.

JUSTYNA SOBCZYK

Gorzki *cukierek*

Pod marzeniem o rodzinie jest pragnienie miłości,
bliskości. Stąd mam wielką niezgodę na to, że nasze
prawo niektórym tę możliwość odbiera





Z JUSTYNĄ SOBCZYK ROZMAWIA NATALIA WALOCH
ZDJĘCIA MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA WYBORCZA.PL

P

Podobno był taki czas, że chciałaś zostać zakonnica.

Tak, w liceum. Z jednej strony rozpatrywałam pójście do szkoły teatralnej, z drugiej - zostanie zakonnica, co pokazuje, jaką miałam w sobie rozpiętość emocji i potrzeb. Pochodzę z religijnego domu, myślę, że moi rodzice odbierają jako porażkę fakt, że troje z ich czworga dzieci nie chodzi do kościoła. My z kolei odpowiadamy, że powinni być dumni, iż wychowali nas tak, że umieliśmy dokonać niezależnego wyboru. Faktycznie ciągnęło mnie do zamkniętych klasztorów, takich, gdzie się mało mówi i gdzie panuje spokój. Dziś zostało mi z tego już tylko zainteresowanie praktykami medytacyjnymi. I duża potrzeba spokoju w życiu codziennym.

Chcę porozmawiać o rodzinie i moja pierwsza myśl była banalna: że zakonnica to osoba, która z niej rezygnuje. Potem pomyślałam, że może niekoniecznie, może zakon może być rodziną.

Pewnie w jakimś sensie jest. Z pewnością jest to wspólnota, która łączy osoby o wspólnych wartościach albo wyobrażeniach o życiu - tym na ziemi i tym pozagrobowym. Na wszystkich etapach swojego życia potrzebowałam przynależności do ludzi, z którymi łączyły mnie podobne sprawy, od drużyny siatkarskiej do teatru.

W spektaklu „Rodzina”, który zrobiłaś w TR Warszawa, bawisz się - to twoje słowa - przedstawianiem klocków. W pierwszej odsłonie mamy aktora z zespołem Downa, który gra syna, i jest to obrazek, do którego jesteśmy przyzwyczajeni, bo znamy takie rodziny. Ale w kolejnej odsłonie aktor z zespołem Downa gra ojca - i tu widz zaczyna mieć ostry ruch w mózgu.

Tak. Bo osobie z niepełnosprawnością intelektualną mamy do zaoferowania w społeczeństwie tylko rolę syna czy córki. Zawsze mnie ciekawiło to, że zawodowi aktorzy z wielką przyjemnością przyjmują rolę osób z niepełnosprawnościami. Robią na tym kariery, bo te role są nagradzane, zapadają w pamięć. Zastanawia-

Czy aktor z niepełnosprawnością może zagrać *osobę w normie*?

łam się, czy to można zrobić w drugą stronę: aktor z niepełnosprawnością gra osobę w tzw. normie. Bo dlaczego nie? Opowiadanie o niepełnosprawności w taki sposób, że aktorzy z niepełnosprawnościami wychodzą na scenę i mówią w swoim imieniu, że mają prawo do marzeń, życia, miłości, był mi dotąd bliski, ale tu postanowiłam tę strategię porzucić. Pomyślałam: co się stanie, gdy Michał Pęszyński, aktor Teatru 21, po prostu wejdzie w rolę ojca? Nie chciałam niczego narzucać, chciałam dać widzowi

możliwość pobycia z takim nowym obrazem, żeby zaczął zadawać sobie pytania. Czy OzN - osoby z niepełnosprawnościami - w ogóle mogą być rodzicami? Gdzie widzę OzN w przestrzeni publicznej? W jakich rolach występują?

Jak zareagował na to wasz zespół?

Gdy pojawił się pomysł, żeby aktorka Magdalena Świątkowska zagrała matkę, powiedziała: „Ale ja jestem osobą z zespołem Downa, czy ja mogę zagrać matkę?”. To było ciekawe, że Magda zadała sobie takie pytanie. Aktorzy zawodowi profesjonalnie raczej nie zastanawiają się, czy mogą reprezentować w filmie lub w teatrze osobę z niepełnosprawnością i czy są najbardziej odpowiednimi osobami do wprowadzania widzów w pewne zagadnienia, które nie są ich doświadczeniem. Tworzymy swoje wyobrażenia dotyczące niepełnosprawności w sztuce, wybierając elementy z doświadczenia tych osób, które dobrze wyglądają na scenie. To projektowanie fałszywego obrazu. Uważam to za niesprawiedliwe i wykluczające, a wierzę w sprawczość, wrażliwość, kreatywność i odwagę ludzi sztuki.

Mówiłaś, że dla tych osób marzenie o rodzinie jest nieosiągalne. Wydaje mi się to szokujące w XXI wieku.

Oglądaliśmy niedawno z zespołem film o grupie rockowej Na Górze, w której grają osoby z niepełnosprawnościami. Jeden z tych muzyków ma syna, drugiego widzieliśmy z żoną w ich wspólnym mieszkaniu. Zobaczyłam poruszenie na twarzach naszych aktorów oraz ich mam, niedowierzanie.

OzN mogą w Polsce zawierać małżeństwa?

Decydują o tym w pierwszej kolejności rodzice, opiekunowie, a potem sąd, i w przypadku niepełnosprawności intelektualnej zgoda jest wydawana bardzo rzadko. Trudność sprawia też np. sytuacja ekonomiczna OzN i ich rodzin. Małżeństwo czy rodzina powinny w naszym wyobrażeniu funkcjonować samodzielnie. Nasi aktorzy spotykali się z artystami z niepełnosprawnościami z zagranicy, wśród których były małżeństwa, i dla naszych aktorów to zawsze były takie wieści z daleka: oto gdzieś tam to jest możliwe.

Sądząc po liczbie rozwodów, nie wydaje się, żeby wszystkie osoby bez niepełnosprawności były świadome i odpowiedzialne, biorąc ślub. Wiele małżeństw musi też polegać na finansowej pomocy rodziców. Nierówność, z jaką traktujemy osoby w normie i te z niepełnosprawnościami, jest ogromna. Odczuwamy olbrzymi lęk społeczny przed samodzielnością OzN.

Wspiera go cały przestarzały system: specjalne szkoły, ośrodki, specjaliści pedagogicy. Brakuje nam okazji, w których moglibyśmy zweryfikować myślenie. OzN zawsze są podopiecznymi, nie spotykamy ich w sytuacjach, kiedy samodzielnie podejmują decyzje czy działają spontanicznie. Takie obrazy wpływają na to, jak myślimy i działamy: zakładamy dla nich ośrodki, uczymy prostych prac, które na nic się nie przydadają na rynku pracy, bo taka osoba powinna być bez pracy, żeby mieć miejsce w ośrodku. Na tym zależy też rodzicom, bo zwyczajnie potrzebują czasu dla siebie. Ten system wszystkich utrzymuje w niewolnictwie, jak mówi o tym Agnieszka Szpila - zarówno rodziców, najczęściej matki, w roli opiekunek, jak i OzN w roli wiecznych dzieci.

Temat rodziny przewija się w twojej pracy. Z Jakubem Skrzywankiem zrobiłaś w Szczecinie „Sen nocy letniej”, w którym ten temat naświetlony jest w kontekście prawa do miłości i seksualności.

Zestawiamy ucieczkę Hermii, bohaterki Szekspira, do Lasu Ateńskiego z historią Anny Alboth i jej dorosłego brata Kuby, osoby z nie-



JUSTYNA SOBCZYK

– reżyserka, pedagoga teatru, wykładowczyni akademicka, założycielka Teatru 21, który zatrudnia osoby z zespołem Downa, założycielka Centrum Sztuki Włączającej. We wrześniu będzie miała miejsce premiera „Tajemniczego ogrodu” w Teatrze Zagłębia w Sosnowcu

CHUSTA POIKILLOS; PROJEKT WZORU CHUSTY: DANIEL ZAREWICZ
PROJEKT KOŁORÓW CHUSTY: KINGA KARAPTI; [HTTPS://POIKILLOS.COM/](https://poikillos.com/)

pełnosprawnością, którzy rok temu w wakacje ruszyli w podróż do Brukseli, by spotkać się z asystentką seksualną, co opisali w mediach społecznościowych, wywołując lawinę reakcji. W Szczecinie do Teatru Współczesnego zaprosiliśmy do pracy nad spektaklem pięć dorosłych osób z niepełnosprawnością, które wzmocniły zespół swoją obecnością. Skupiamy się na relacji brata z siostrą, która staje się prawdziwą sojuszniczką OzN, wsłuchaną w potrzeby brata. Przedstawiamy też postać matki, która w rozmowie z sexworkerką mówi, że nie potrafiła zadbać o tę dziedzinę życia swojego syna, i przyznaje się do swojej bezradności w tej sferze.

Dorosłość osób z niepełnosprawnościami nasycona jest lękiem rodziców i opiekunów, którzy pewne doświadczenia podają w określonej, naiwnej narracji, często upraszczającej, pozbawiając tym samym dorosłe osoby z niepełnosprawnościami wiedzy na temat ciała i potrzeb seksualnych.

Wracając do „Rodziny” w TR Warszawa – aktorzy 21 z radością przejmowali role społecznie dla nich niedostępne. Oczywiście z tyłu głowy zawsze mam myśl, że ten „cukierek” ma gorzkie nadzienie, bo te sytuacje teatralne na razie nie są możliwe do realizacji poza teatrem. Jednak do teatru przychodzi publiczność, w której gronie mam nadzieję znaleźć kolejnych sojuszników.

Jak doszło do tego, że zostałam pedagogką teatru, zdaje się, że pierwszą w Polsce?

Tak. Szykowałam się na wydział aktorski, ale kiedy grałam w teatrze młodzieżowym, zorientowałam się, że niektóre moje koleżanki, kiedy są na scenie, dostają uwagę, której ja nie dostaję. Zaczęłam zauważać, że one świetnie śpiewają i tańczą, doceniano ich oryginalną urodę. Dotarło do mnie, że nie bardzo mam tak zwane warunki. Potem w szkole teatralnej usłyszałam, że mam taką

wadę wymowy, że nic z tego nie będzie. To mnie zdruzgotało, ale wtedy jedna z pań spytała mnie, co jeszcze mnie interesuje, a ja zaczęłam jej opowiadać, że pracuję z osobami z niepełnosprawnościami. Powiedziała: „Gdybyś przed chwilą mówiła ten wiersz tak, jak mówisz o niepełnosprawnych, tobyś miała szansę, ale niestety, tak nie mówisz”. To była duża porcja krytyki jak na możliwości młodej osoby, sama nie wiem, skąd we mnie była taka determinacja i ciekawość, by szukać swojej ścieżki poza polskim systemem artystycznym. Kiedy pojechałam do Lipska na stypendium, ktoś mi przy piwie powiedział, że mówię zupełnie jak pedagoga teatru i że w Berlinie są takie właśnie studia i w niemalże każdym teatrze niemieckim pracują pedagodzy teatru. Pojechałam do Berlina sprawdzić, o co chodzi. I od razu wiedziałam, że to jest to, czego cały czas szukałam. Otrzymałam stypendium, zdałam egzaminy do Akademii Sztuki w Berlinie, wróciłam do Polski, by wziąć ślub z moim chłopakiem i razem wyjechaliśmy do Berlina. Dwa lata później wracaliśmy do Polski. Konrad z dyplomem mediatora, ja z dyplomem pedagoga teatru, w trzecim miesiącu ciąży, pełna entuzjazmu i z wizją nowego teatru. Wydawało mi się, że pójść do pierwszego z brzegu teatru i mnie zatrudnią, ale wszyscy robili wielkie oczy. Znalazłam pracę w Zespole Szkół Specjalnych „Dać szansę” na warszawskim Mokotowie.

I postanowiłaś pracę tam zmienić w prawdziwy teatr. Ile razy usłyszałaś, że zwariowałaś i się nie da?

Och, wiele. Ale ja miałam wtedy przekonanie, że wiem, co chcę robić. Poza tym już wtedy wiedziałam, że takie zespoły są za granicą, byłam w tych teatrach, odbyłam tam praktyki.

To ile czasu już ten wasz niemożliwy teatr istnieje?



Spektakl „Rodzina” w TR Warszawa i „Sen nocy letniej” w Teatrze Współczesnym w Szczecinie (spektakl będzie można zobaczyć również podczas tegorocznego Festiwalu Szekspirowskiego w Trójmieście)

Zaczęłam pracę w szkole 2005 roku. Wiedziałam, że to „bieg długodystansowy” i nie samotny. Od 10 lat wspólnie z Justyną Lipko-Konieczną, Justyną Wielgus, Marcelim Suleckim i grupą bliskich osób wspólnie rozwijamy teatr, stał się Centrum Sztuki Włączającej. Od roku mamy swoje miejsce przy placu Hallera w Warszawie i pracujemy dzięki wsparciu Miasta na rzecz sztuki i edukacji inkluzywnej oraz zmiany zarówno artystycznej, jak i społecznej.

Kilka lat temu zrobiliście spektakl „Indianie”, rzecz o ludziach, których można w zasadzie spotkać już tylko w rezerwach. Mówiłaś wówczas, że z osobami z niepełnosprawnościami jest podobnie: one też są w pewnym sensie w rezerwach własnych domów, ośrodków, szkół specjalnych. Czy wasz teatr nie jest postrzegany podobnie?

Początkowo rzeczywiście działaliśmy na terenie wyznaczonym dla osób z niepełnosprawnościami: szkoła specjalna, festiwale dla teatrów tworzonych przez takie osoby, „niepełnosprawna widownia”. Chciałam wyjść z tego terenu. Pamiętam, jak powiedziałam pani dyrektor szkoły Barbarze Szostak, że naprawdę nie chcę jeździć na festiwale dla osób z niepełnosprawnościami. To było dla niej trudne, bo ten nasz szkolny teatr był też po to, żeby reprezentować szkołę na zewnątrz, ale zgodziła się. Dzięki jej wsparciu i nauczycielce Agacie Manturzewskiej przetrwałam pierwszy etap pracy, w którym byłam posądzana o to, że mieszam uczniom w głowie, mówiąc im, że mogą być aktorami. Maciej Nowak, ówczesny dyrektor Instytutu Teatralnego, przyjął nas u siebie i tak zaczęła się nasza długoletnia podróż szlakiem warszawskich teatrów, w których realizowaliśmy kolejne premiery.

Bramy tych mikrorezerwatów, w których zamknęliśmy nie tylko osoby z niepełnosprawnością, ale też ich rodziny, zostały kopniakiem otwarte 40-dniowym protestem w Sejmie, po którym zrobiliście spektakl „Rewolucja, której nie było”.

To było przełomowe doświadczenie w historii walki o prawa osób z niepełnosprawnościami w Polsce. Kiedy protest został zawieszony i wszyscy się rozchodzili do domów w poczuciu porażki, ja miałam myśl odnośnie do naszej władzy, że oni właśnie teraz powinni zacząć się bać, bo oto te wszystkie osoby, których serca przepełnia bezsilność i gniew, rozchodzą się do swoich domów, by tam szykować się do kolejnego uderzenia. Wierzę w to, że idee potrzebują czasu, by dojrzeć. Wierzę w zmianę i chcę na rzecz tej zmiany pracować.

Chcę zadać pytanie, którego się obawiam. Podczas debaty o ustawie aborcyjnej dużo mówiło się o płodach z wadami, dzieciach z zespołem Downa. Czy to jakoś rezonowało w waszej grupie?

Bardzo. Rozmawiałam wtedy z różnymi matkami, większość z nich mówiła o tym, że po prostu chciałyby móc samodzielnie podjąć decyzję, bo konsekwencje najbardziej dotyczą ich życia, planów, marzeń, codzienności.

Nasi aktorzy zaś stanęli w obronie swojego życia. Pamiętam, że na jednej próbie zaczęli mówić: „Mamy prawo żyć i mamy prawo być tutaj”. To mocno wybrzmiewa z naszych spektakli. „Jesteśmy obywatelami tego kraju, mamy takie same prawa jak każdy”. „Nie jestem roślinką!” – stanowczo i radykalnie podkreśla nasza aktorka Aleksandra Skotarek w performansie w reż. Justyny Wielgus.

Jeszcze kilkanaście lat temu było dość oczywiste, czym jest rodzina, dziś już nie tak łatwo to określić. Jestem po rozwodzie i formalnie ja i mój były mąż już rodziną nie jesteśmy. Ale czy można przestać być rodziną, jeśli ma się wspólne dzieci? Czy przestajemy być rodziną, kiedy się skonfliktujemy i przestaniemy ze sobą kontaktować? Czy ktoś, kogo wydziedziczymy, przestaje być naszą rodziną?

Też jestem po rozwodzie i moje doświadczenie jest takie, że po rozstaniu nie przestaje się być rodziną. Z Konradem, tatą dzieci, udało się nam wypracować życzliwą relację, której sensem jest wspólna opieka nad dziećmi i troska o nie. Rodzinę widzę jako żywy twór, który się zmienia. Masz nowego partnera i rodzina przybiera nowy kształt, w ślad za partnerem pojawiają się jego krewni, którzy z mniejszą lub większą otwartością współtworzą tę nową sytuację. Krąg osób wspierających dzieci staje się większy. W sumie to może być piękna sytuacja. Chcę w rozpadzie rodziny widzieć nie tylko porażkę. Oczywiście rozpad tych układów, nieudane kolejne próby zbudowania rodziny pozostawiają smutek w sercu. Bycie wśród kochających ludzi jest chyba tęsknotą każdego z nas. Pożegnania nie są łatwe, trzeba przeżyć żalobę, a my nie lubimy smutnych dni i ze strachu przed samotnością chcemy jak najszybciej zastąpić jednych ludzi drugimi.

Coraz więcej mówi się o rodzinach z wyboru, czyli o grupie przyjaciół, pewnej wiosce ludzi, którzy często dają nam więcej niż nasi krewni i z którymi nas więcej łączy.

Tak. W czasie przygody, jaką jest życie, mamy wiele okazji do tego, by tworzyć swoje wioski.

Aktorzy i aktorki Teatru 21 często mówią o sobie w takim rodzinnym kontekście, a o teatrze mówią jako o drugim domu. To na pewno wspierające mieć przyjaciół blisko, przeżywać wraz z nimi zarówno przyjemne chwile, jak i trudne. Kiedy jakiś czas temu jeden z aktorów stracił matkę, widziałam, jak pozostali aktorzy go wspierają. Ostatnio straciliśmy jedną z naszych ak-

torek Barbarę Lityńską, wspólne przeżywanie jej odejścia dało nam wszystkim ogromne oparcie. Taka wioska to skarb.

Teatr i rodzinę łączy to, że mamy w nich role do zagrania. W naszej rzeczywistości wyjątkowo rygorystyczna jest rola narzucona kobiecie. Jak z nią jest, kiedy jest się kobietą z pasją, twórczą, dużo pracującą?

Kiedy zbiega się w jednym momencie macierzyństwo i praca, to jest to bardzo trudne. Takie było dla mnie, przyznaję. W 2005 roku urodziłam córkę Werę, założyłam Teatr 21 i rozpoczęłam pracę w Instytucie Teatralnym. Miałam duże wsparcie ze strony taty Wery, ale to było jednak za dużo początków naraz. W Warszawie byliśmy sami. Zabrakło tej wioski, o której mówiłaś. Kiedy się rozstaliśmy, krążyły opinie po rodzinie, że to się nie udało, bo ja za dużo pracowałam. Zaczęłam w pewnym momencie nawet w to wierzyć. Ale nie chciałam zrezygnować z czegoś, co było dla mnie ważne, czułam, że jestem na swojej ścieżce.

Pragnę realizować się jako kobieta, matka, reżyserka, puszczając obok uszu głosy strażników systemu, których opinie i oczekiwania są mi dobrze znane.

Ci strażnicy systemu odzywali się, kiedy przez lata byłaś związana ze sporo młodszym od siebie Jakubem Skrzywankiem, reżyserem, z którym zresztą też razem pracowaliście?

Niestety, tak. Te głosy przychodziły do mnie również od kobiet, które pytały mnie o to, czy zastanawiam się, co będzie za 10, 15 lat. Byliśmy razem ponad sześć. Był to czas pełen bliskości, wzajemnej ciekawości, szacunku, przygód, zachwyty, inspiracji i wsparcia. Nawet z dzisiejszej perspektywy cieszę się, że poszłam za głosem serca, wbrew wszystkim wątpliwościom.

W twoim życiu dość niezwykła jest relacja z rodzeństwem. W teatrze pracujesz z bratem Marcelim Suleckim, a twoja siostra, posłanka Joanna Scheuring-Wielgus była zaangażowana w 40-dniowy protest opiekunów osób niepełnosprawnych w Sejmie, co jest bliskie temu, co ty robisz.

Jesteśmy ze sobą bardzo blisko, chociaż nie widzimy się regularnie. Kochamy się, wiemy, że możemy na siebie liczyć. Wszyscy jesteśmy otwarci i ciekawi świata, co w pewnym stopniu wzięliśmy z domu rodzinnego, gdzie było na to dużo przestrzeni. Nasz tata był marynarzem, zdarzało się, że w domu nie było go przez

rok. Brak ojcowskiej uważności stwarzał nam duże możliwości poznawcze. Mama nie zawsze dawała sobie z naszą czwórką – bo jest jeszcze jeden brat – radę. Myślę, że dla niej to mogło być trudne. Ale i ona zbudowała swoją wioskę: sąsiedzi, przyjaciele z pracy – wiele osób uczestniczyło w naszym wychowaniu.

Żyjemy w czasach wielkiej indywidualizacji i kontestacji również modeli rodziny. A jednak wydaje mi się, że rodzina pozostaje ogromnym życiowym marzeniem większości z nas. Niektórzy ukrywają je jak coś wstydlivego, inni się nie ograniczają i ścigają je wręcz desperacko. Dlaczego?

To jest marzenie o miejscu, gdzie są życzliwi ludzie, do których możesz wrócić ze świata, w którym różnie się dzieje. Możesz im opowiedzieć, co cię spotkało, możesz zapłakać i jest na to przestrzeń, wiesz, że nikt cię nie oceni. To jest marzenie o byciu blisko, o tym, że można się przytulić w ciągu dnia, poleżeć razem na kanapie, podzielić obowiązki między siebie, przyznać się, że potrzebujesz wsparcia, pogadać, pośmiać się przy obiedzie, potem zasnąć w poczuciu bezpieczeństwa, żeby następnego dnia każdy wystartował w swoją przygodę, z której czasami wraca się w poczuciu sukcesu, a czasem ze zwieszoną głową. Na pewno pod tym marzeniem jest pragnienie miłości, bliskości, bycia zrozumianym. Stąd mam tę wielką niezgodę na to, że nasze prawo niektórym tę możliwość odbiera. I nawet nie chodzi o to, czy to budowanie rodziny się uda, bo wiemy, że niewielu się to udaje, ale wszyscy chcemy spróbować.

W Teatrze Guliwer stworzyliśmy niedawno przedstawienie dla dzieci pt. „Królestwa” na podstawie tekstów naszej aktorki ze spektrum autyzmu Marty Stańczyk. Opowieść zaczyna się tak: „Pewnego dnia Bernadetta i Klementyna zamknęły drzwi na klucz”. Bernadetta i Klementyna to zakonnice, które ruszają w świat. Marta Stańczyk napisała w tych opowiadaniach o wszystkim, czego sama się boi. Jest więc podróż balonem i batyskafem na dno oceanu. W pewnym momencie zakonnice mają już nie czarne, ale kolorowe habity i jedna z nich mówi: „Ja też chcę być w ruchu i mieć dużo wrażeń, Bernadetto”. W tych kolorowych strojach one nagle nie wyglądają już jak zakonnice, ale jak wróżki. I to dla mnie jest właśnie to, o czym mówimy. Każdemu życzyłabym tej wielkiej przygody, jaką jest życie i jaką jest rodzina z całą ekscytacją i ze wszystkimi napięciami i goryczą, którą czasem w sobie niesie. Tak, ten cukierek ma anyż w środku. ♦

REKLAMA



WODECKI TWIST FESTIWAL

Oczarowanie

13.07 OSTRÓDA • 14.07 PŁOCK
28.07 OPOLE • 29.07 KIELCE
01.08 SOPOT • 03.08 KOSZALIN
04.08 SZCZECIN • 06.08 ŚWINOUJŚCIE
19.08 ŻYWIEC

Artyści

KUBA BADACH • MONIKA BORZYM • KAYAH
KASIA CEREKWICKA • KRZYSZTOF KILJAŃSKI
ANDRZEJ LAMPERT • ALICJA MAJEWSKA
PAULINA PRZYBYSZ • ANNA RUSOWICZ
OLGA SZOMAŃSKA • SŁAWEK UNIATOWSKI

Bilety: Eventim.pl





Próbowaliśmy ułożyć sobie życie

Alice Diop jako pierwsza wpadła na pomysł, żeby młodych chłopaków z przedmieść zapytać o uczucia. Usłyszała to, czego słucha się trudno

TEKST PATRYCJA WANAT

RER B, czyli niebieska linia szybkiej sieci regionalnej. Kto był w Paryżu, z pewnością dojeżdżał nią z lotniska Charles de Gaulle do Châtelet-Les Halles albo stację dalej, tuż pod stopy katedry Notre Dame.

Ligne Bleue ciągnie się przez 80 kilometrów i spina północ z południem. Łączy białe dzielnice jednorodzinnych domków, historyczne i turystyczne centrum z czarnymi blokowiskami. Każdego dnia do jego wagonów wsiada milion pasażerów. To Francja w pigułce, Paryż w pigułce. Wraz z kolejnymi stacjami zmienia się krajobraz, zmieniają się twarze, ich kolor, zmienia się styl, ubiór, zmienia się dźwięk. Turyści ze starego Paryża, nieco onieśmieleni miastem muzeum, nieco zmęczeni, rodzice z dziećmi, oczy wpatrzonych w siebie nowożeńców, roześmiane przyjaciółki, urywki zdań hiszpańskich mieszają się z fragmentami słów niemieckich i płatiną języków z Dalekiego Wschodu. Powoli opuszczają wagony i rozchodzą się do hoteli i galerii. Plecaki zastępują boubou i kolorowe chusty, twarze coraz bardziej zmęczone, oczy nieobecne. Przeciskanie się przez Paryż w godzinie szczytu to nie przygoda, to codzienność powrotu do domu. Dziś na szczęście kolejka jeździ, wczoraj ścisk był nie do zniesienia, wypadek na torach zatrzymał jej ruch na półtorej godziny.

Wagony RER B znane są dobrze Alice Diop. Francuska reżyserka wychowała się niedaleko stacji Aulnay-sous-Bois. To słynny departament 93, jeden z najniebezpieczniejszych w kraju. Media lubią pisać o dzielnicach imigrantów, do których mundurowi boją się wejść. Sprawy badają socjologowie, filmowcy robią filmy, biali się wyprowadzają. Bieda, izolacja, reprodukcja przemocy. W zeszłym roku policja odnotowała tu ponad pięć tysięcy przestępstw i wykroczeń. Włamanie, rabunki, kradzieże, dewastacje, sprzedaż narkotyków. Gdy Alice Diop miała dziewięć lat, widziała na klatce schodowej ciało sąsiada, który przedawkował. Rok później jej rodzina się wyprowadziła.

Rodzice Alice Diop przyjechali z Senegalu. 16 marca 1966 roku jej ojciec zszedł z pokładu słynnego liniowca „Ancerville” w Marsylii. Pojechał pociągiem do Paryża, w kieszeni miał tylko adres znajomego, który mieszkał w Belleville. Znajomego nie było, ojciec Alice Diop czekał przed drzwiami cały dzień, aż ten wróci z pracy. Tak rozpoczęło się jego nowe życie w kraju bogatego kolonizatora.

Starszy mężczyzna opowiada tę historię w filmie dokumentalnym córki „My, z przedmieść Paryża” z 2021 roku, Alice Diop otrzymała za niego nagrodę za najlepszy film w konkursie „Spotkania” na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym Berlinale. Reżyserka szuka w nim odpowiedzi na pytanie, kim są współcześni Francuzi. A kierunek tej historii wyznacza dobrze jej znana linia RER B.

Diop filmuje powoli, długie ujęcia pozwalają rozgościć się w każdej ze scen. Lubi wstęgi błyszczących nocą torów, dźwię-

Na jednym z podmiejskich parkingów naprawia samochody, nurkuje pod maską, wymienia cylindry, oliwi jakieś części, jest skupiony na pracy, przywraca do życia przypadki beznadziejne. Po pracy zdejmuje ciuchy mechanicznych i wraca do swojego domu-samochodu, włącza silnik, żeby się ogrzać, posłuchać muzyki i pooglądać z kolegą filmiki z internetu.

„Ukradli mi papiery, muszę wyrobić nowe, powiedzieli, że zajmie to osiem miesięcy. Potem na pewno wrócę do domu, nie mogę tu zostać” – opowiada przez telefon mamie, która została w Mali, w miejscowości Kati, 15 kilometrów od Bamako.

Alice Diop obsesyjnie filmuje paryskie przedmieścia od ponad 15 lat. Na początku tego nie rozumiała, teraz już wie: żeby uchronić od zapomnienia, żeby nadać znaczenie, żeby nie pozostawić bez śladu.

W jednym z wywiadów tłumaczy: „Jeśli dorastasz we Francji jako imigrant, to masz wrażenie, że twoja historia nie ma prawa być opowiadana. Nie jest ważna. Myślę, że ta rana popchnęła mnie w stronę filmu. Chciałam uchronić ludzi przed zniknięciem”.

W „My, z przedmieść Paryża” celowo wmontowuje prywatne nagrania swojej rodziny, opowiada: „Kiedy moja mama łąpała pierwszy pociąg, żeby jechać do pracy, ja jeszcze mocno spałam. Była sprzątaczką, zmarła 25 lat temu. Miała na imię

Rokhaya. Zawsze wiedziałam, że istnieją jakieś taśmy, na których jest, ale nigdy ich nie oglądałam. Bałam się tego, co mogę zobaczyć – a jeszcze bardziej bałam się tego, czego nie zobaczę. Moja starsza siostra kupiła kamerę Hi-8, którą filmowała życie mojej rodziny. Znalazłam tylko 18 minut nagrań. 18 minut, w czasie których moja mama przelotnie się pojawia”.

Obserwujemy wycieczkę po domu, trzęsący się obraz, niewyraźny, przypadkowe kadry osoby, która trzyma kamerę pierwszy raz w rękach. Jest i mama, w niewielkiej i wąskiej kuchni, krótkie włosy, długa trady-

Wychowała się
w departamencie 93, jednej
najniebezpieczniejszych dzielnic
paryskich przedmieść

ki nocnego miasta, oddalone, przyciszone, ale wyraźne syreny, zgrzyt hamulców pociągu, klaksony. Tak wyglądają te ulice, których się boicie, te stacje, gdzie ponoć można łatwo zginąć albo chociaż stracić torebkę. Patrzcie. A tak wygląda człowiek, na którego widok zastanawiacie się, gdzie macie schowany telefon i portfel.

Nazwijmy go Moussa – budzi się, otwiera drzwi swojego domu, czyli zielonej furgonki. Wychodzi, zaraz pójdzie do pracy, zatrzymuje się jeszcze tylko na szybką kawę w barze, musi się obudzić i ogrzać. Nie uśmiecha się, nie rozmawia.



Kadr z filmu „Saint Omer” w reżyserii Alice Diop to opowieść o dzieciobójczyni, oparta na prawdziwych zdarzeniach

cyjna sukienka, w zasadzie ciasno obwiązana chusta. Znika na chwilę, poprawia włosy, chce wyglądać ładnie, choć nie wie wtedy, że kilkadziesiąt lat później te sceny z codziennego życia zobaczy cały świat.

Kolejna uwieczniona chwila, 25 grudnia 1995 roku – święta, ostatnie święta z mamą. Alice Diop wyjaśnia: wtedy jeszcze nie wiedziała, że jest chora i wkrótce umrze.

„Żałuję, że pojawia się na ekranie tak rzadko, jest tylko jakąś sylwetką w rogu kadru, gotowa, żeby zniknąć. Myślę o wszystkich momentach, które nie zostały uwiecznione, zachowane, które przeminęły bez śladu. Wszystko, co zniknęło i zostało wymazane”.

Co łączy senegalską rodzinę z północy Paryża z modlącymi się w katolickim kościele wiernymi, co łączy młodzież ze skwerów Saint-Denis z hołdującymi tradycji polowań potomkami burżuazji? Mieszkają kilkadziesiąt kilometrów od siebie, mówią tym samym językiem, ale życie jednych ma się nijak do życia drugich. Nie zgadza się codzienność, w której dorastają, słowa, które słyszą od dzieciństwa, uwaga, którą im się poświęca.

Tę różnicę doskonale czuje Steve Tientcheu, bohater dokumentu Alice Diop z 2011 roku „Śmierć Dantona”. On też wsiada do wagonów kolejki RER B. Ze stacji Aulnay dojeżdża na zajęcia w prestiżowej szkole teatralnej Le Cours Simon.

Można się go wystraszyć, to wielki facet z wiecznie zachmurzoną miną. Na scenie może jednak zagrać wszystko, sceny dramatyczne, sceny komediowe, jego przemiana jest zadziwiająca.

W przyszłości chce zostać gwiazdorem: Hollywood to miejsce dla mnie! Hollywood, Cannes, Wenecja, Berlin, Marrakesz. Nazwać to marzenie nierealną mrzonką to za mało. Ale Steve się zaparł. Dojeżdża ze swoich czarnych przedmieść do białego centrum Paryża i przez kilka lat uczy się aktorstwa.

Koleżanka z kursu mówi do niego w barze: „Chciałabym cię rozśmieszyć”. „Dlaczego tak mówisz?” – pyta bez entuzjazmu Steve i słyszy odpowiedź: „Bo jesteś smutny”. Steve zaczyna się irytować: „To nieprawda, mylisz

saniem mu rolę do grania. Proponuje mu tylko role czarnych, a tych w kulturze zna niewiele. Steve nie chce przez cały czas grać niewolników ze Stanów Zjednoczonych albo historii o kolonizacji. Chciał zagrać Dantona, ale nauczyciel się nie zgodził. Tłumaczył, że Danton nie był czarny. Jednocześnie nie miał problemu z zaproponowaniem pomalowania twarzy białego aktora na czarno, by ten wcielił się w partnera Steve’a w jednej ze scenek.

„Nie ma dla nas miejsca! W kinie, w teatrze nie ma miejsca dla czarnych i Arabów. Możemy być raperami albo piłkarzami, możemy przejąć pracę po rodzicach, czyścić ulice i to wszystko. Nie jesteśmy częścią ich programu! – wykrzykuje Steve. – Biały aktor może wcielić się w czarnego bohatera, czarny aktor białego zagrać nie może”.

Steve Tientcheu rozpoczął swoją szkołę w 2008 roku. Udało mu się. Gra w filmach. Wcielił się niedawno m.in. w rolę burmistrza dzielnicy Montfermeil w obsypanym nagrodami firmie „Nędznicy” Ladja Ly, reżysera, który również wychowywał się na paryjskich przedmieściach i zamieszki, o których opowiada w „Nędznikach”, zna z doświadczenia.

O dwóch równoległych światach, które dzieli kolor skóry, Alice Diop opowiada w każdym ze swoich filmów. Dokument „W pogotowiu” rozpoczyna się od cytatu portugalskiego poety Fernando Pessoa: „Mówiono mi o ludziach, o ludzkości, ale ja nigdy nie wi-

„Saint Omer” to opowieść o wielkiej samotności w macierzyństwie. Z takiej samotności *rodzi się pustka*

się. Jestem twardy, bo życie jest trudne. Ale niczego nie udaję. Tak naprawdę jestem miłym facetem”.

Steve nie nawiązuje przyjaźni, nie spoufala się, onieśmiela. „W szkole czuję się nie na miejscu. Nie lubią mnie. Nie jesteśmy podobni. Nie żyjemy na tym samym świecie” – mówi do kamery Alice Diop i dodaje, że jest dla nich jak dziki kocur.

Denerwuje się jednak, gdy ludzie powtarzają mu, że się go boją. Słyszy to na każdym kroku i jest już tym zmęczony. Denerwuje się również, bo nauczyciel ma problem z przypi-

e-mail: listy@wysokieobcasy.pl

adres: ul. Czerska 8/10,

00-732 Warszawa,

telefon: 22 555 66 00



LIST TYGODNIA

Wolna od farb

Wreszcie czuję się wolna. Wolna od podkładów, fluidów, mascary, pudrowania nosa, aby się nie świecił, farbowania odrostów, balejażów, aby siwych nie było widać, i wolna od biegania z paznokciami do manikiurzystki. Nożyczki i pilniczek, oto czego używam do paznokci. Mam wolność noszenia siwych włosów, jakże mi wdzięcznych za nietorturowanie ich farbami i prostownicą. 55 lat to wiek, w którym nie muszę być pociągająca seksualnie, więc postawiłam na wodę i mydło. Wciąż jestem aktywna zawodowo, mam rodzinę. Jedna z córek całkowicie popiera moją filozofię wyzwolenia się, odpuszczenia w wyścigu z czasem. Druga córka i mąż absolutnie nie popierają takiego trendu. Mówią, że właśnie z wiekiem należy się tym więcej przykładać do tuszowania mankamentów i maskowania upływających lat. Według mnie zamiast tyle czasu poświęcać na wskrzeszanie czegoś, co naturalnie umiera, lepiej zainwestować ten czas, aby wydobyć piękno wewnętrzne. Ale to już inna historia. ♦ **Basia**

NAGRODY

Autorka listu otrzyma zestaw marki Ziaja: antyoksydacyjna pielęgnacja włosów, oraz książkę „Pamiętkowe rupiecie. Biografia Wisławy Szymborskiej” autorstwa Anny Bikont i Joanny Szczęsnej, Wydawnictwo Agora



działem ludzi, nie widziałem ludzkości, widziałem pojedyncze osoby, zadziwiająco różne od siebie, każda była oddzielona od następnej bezludzką przestrzenią”.

„W przychodni” jest zbiorem tych jednostek połączonych rozpaczą, jeśli mają na nią jeszcze siłę. Film to pozostawiony bez komentarza zapis wizyt w przychodni lekarskiej na terenie szpitala ogólnego Avicenne w Bobigny, która przyjmuje imigrantów.

Lekarz pomaga ocenić stan zdrowia, wypisuje recepty, certyfikaty i podbija pieczętki na rządowych dokumentach. Pomaga ogarnąć nie tylko zdrowie, czasem zrujnowane przez tortury w rodzinnym kraju uchodźców, ale też francuską biurokrację. Codziennie naprzeciwko niego siedzą ludzie, głównie mężczyźni, wegetujący z dnia na dzień, z dala od rodzin i domów. Na lekarza, a tym samym w kamerę ustawioną za jego plecami patrzą zrezygnowane oczy, zmęczone życiem na ulicy, puste, nierozumiejące.

- For sleeping, it's good?

- No. Not good. Because...

- Ah, your eyes.

- Have you some news from your family in Bangladesh.

- No, because no money. One week 3-5 minut. My mom diabetics, no good. My father asthma. Also not good.

Mężczyzna wychodzi z gabinetu z receptą na maść na zapalenie spojówek.

To jest Paryż? Tak, to jest Paryż. Miasto miłości.

W 2016 roku Alice Diop pokazała Francuzom, jak wygląda miłość. I zdobyła za to pierwszego Cezara, nagrodę Francuskiej Akademii Sztuki i Techniki Filmowej.

„Sypiamy z prostymi dziewczynami. Te układane, bez problemów, nie interesują mnie” - głosem pozbawionym emocji tłumaczy jeden z bohaterów filmu „W stronę czułości”.

Alice Diop jako pierwsza wpadła na pomysł, żeby młodych chłopaków z przedmieść zapytać o uczucia. Usłyszała to, czego słucha się trudno. Ale spod kaskady monologów, słów „prawdziwych facetów” wyłania się tęsknota za uczuciem, dotykiem, tytułową czułością.

Czy miłość jest wrodzona? Czy miłości trzeba się nauczyć? A jeśli nie ma skąd, nie ma od kogo?

19 listopada 2013 roku Fabienne Kabou, Francuzka senegalskiego pochodzenia, pozostawiła swoją 15-miesięczną córkę Adélaïde na plaży. Została zatrzymana i skazana na 20 lat więzienia za zabicie dziecka. Tą sprawą żyła cała Francja, zresztą żyje do dziś, bo niedawno Fabienne została zwolniona po odbyciu nieco ponad dziewięciu lat kary pozbawienia wolności.

Ta sprawa nie opuszczała też Alice Diop. Odkąd zobaczyła zdjęcie kobiety pchającej wózek, pochodzące z kamery monitoringu stacji Gare du Nord, nie mogła przestać o niej

myśleć. Była z podobnym wieku, miała podobne pochodzenie i dziecko w podobnym wieku.

Podczas procesu okazało się, że Fabienne jest niezwykle inteligentna. Mimo IQ ocenionego na 130 punktów wierzyła jednak, że jej senegalskie ciotki rzuciły na nią urok i dlatego dopuściła się dzieciobójstwa. Proces odbył się w 2016 roku w Saint Omer, Alice Diop pojechała, by go obserwować. Sama nie wiedziała dlaczego, po prostu musiała. Fabienne podczas procesu zadziwiła swoją elokwencją i jednocześnie zimnym, mechanicznym, pozbawionym emocji stylem, w jakim odpowiadała na zadawane pytania.

Z tych bardzo mocnych doświadczeń powstał pierwszy film fabularny Alice Diop „Saint Omer”. To dramat sądowy. Reżyserka w 2022 roku zdobyła za niego Wielką Nagrodę Jury na festiwalu filmowym w Wenecji i Cezara za najlepszy debiut. Film był też kandydatem Francji do Oscara w kategorii najlepszy film nieanglojęzyczny, a tym samym Alice Diop była pierwszą czarną kobietą we Francji, której dano taką szansę.

„Saint Omer” nie jest rekonstrukcją procesu, reżyserka odeszła od dobrze jej znanego dokumentu do fikcji po to, żeby nadać mu uniwersalne znaczenie. Nie jedno, lecz wiele. Na początku filmu sędzia pyta oskarżoną Laurence Coly (w tej roli Guslagie Malanda): „Dlaczego zabiła pani swoje dziecko?”. Laurence odpowiada: „Nie wiem, mam nadzieję, że ten proces pomoże mi to zrozumieć”.

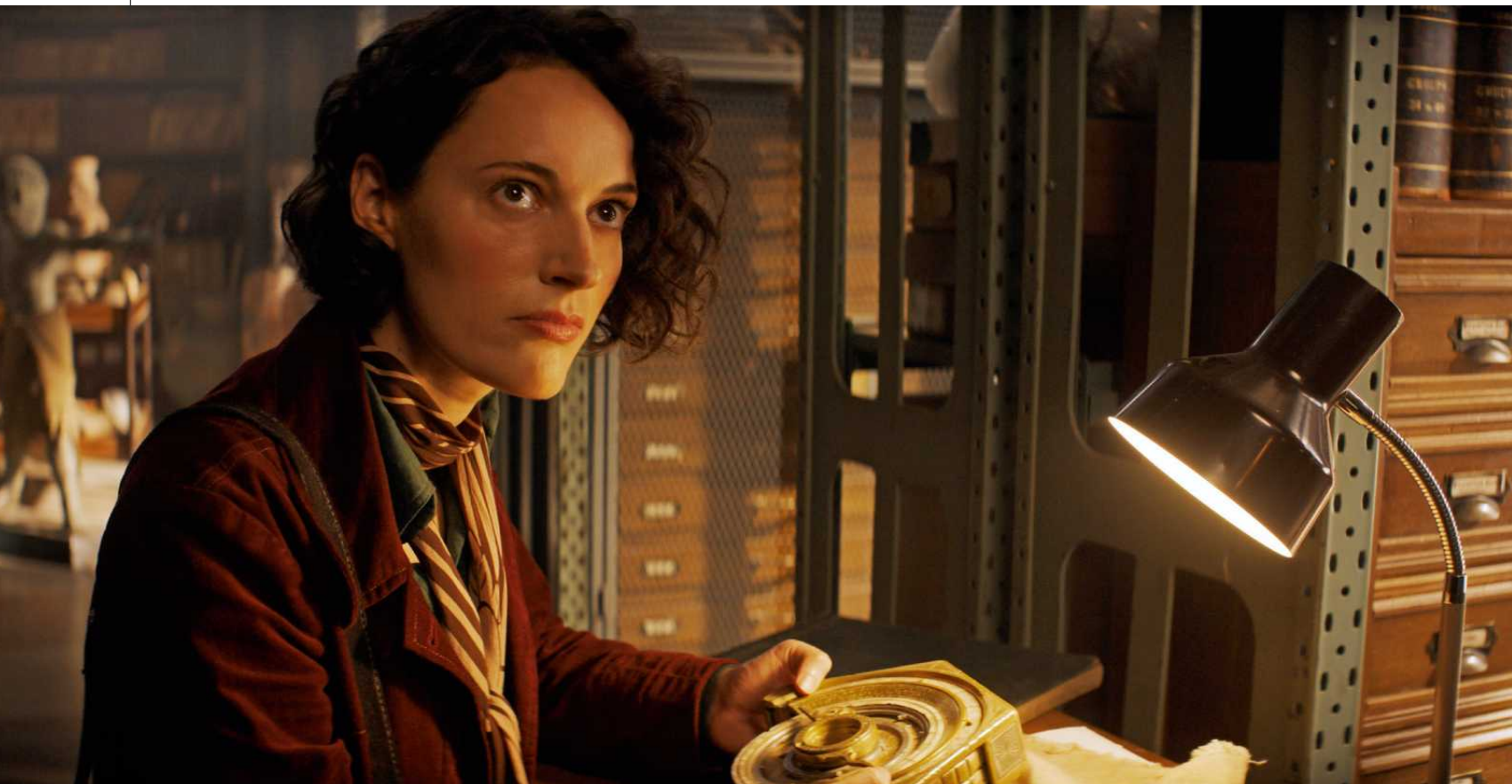
Alice Diop nie ocenia jej, ale nie robi też z niej ofiary. Mówi: „Jest potężną Medeą, a nie biedną, zdeptaną imigrantką. Dla mnie sprawiedliwość polega na oddaniu jej - i nam - naszej złożoności. Rzadko widziałam opowieści, które przedstawiałyby złożoność czarnej kobiety. Zawsze wygląda się nas we właściwy sposób, zamyka w oczach tych, którzy mają prawo tworzyć dla nas historię”.

„Saint Omer” to też opowieść o macierzyństwie, wielkiej samotności w macierzyństwie. „Byłam przez cały czas sama, sama z dzieckiem. Mój partner nie chciał mnie nawet przedstawić swojej rodzinie, ukrywał mnie” - oskarżona Laurence Coly beznamiętnie wyrzuca o siebie słowa. I choć nie usprawiedliwiają one morderstwa, to jednak budzą zrozumienie, litość, są jak sople lodu, które wpadają za kohnierz.

Co może zrodzić się z takiej samotności? Tylko niemożliwa do wypełnienia pustka. Alice Diop: „Z jakiej ciszy, z pustki wygnania, pustki życia naszych matek, nicości ich łez, nicości ich przemocy próbowaliśmy ułożyć sobie życie”. ♦

Retrospektywę filmów Alice Diop będzie można oglądać podczas 23. Międzynarodowego Festiwalu Filmowego Nowe Horyzonty we Wrocławiu, który rozpocznie się 20 lipca.

Szczegóły na stronie nowehoryzonty.pl



Nie uznaję tematów tabu w komedii

Helena ma inne problemy niż Indiana Jones i patrzy na świat inaczej. Nie ma takiej wiary w ludzi jak jej ojciec chrzestny. I właśnie to w niej kocham

Z PHOEBE WALLER-BRIDGE
ROZMAWIA ARTUR ZABORSKI

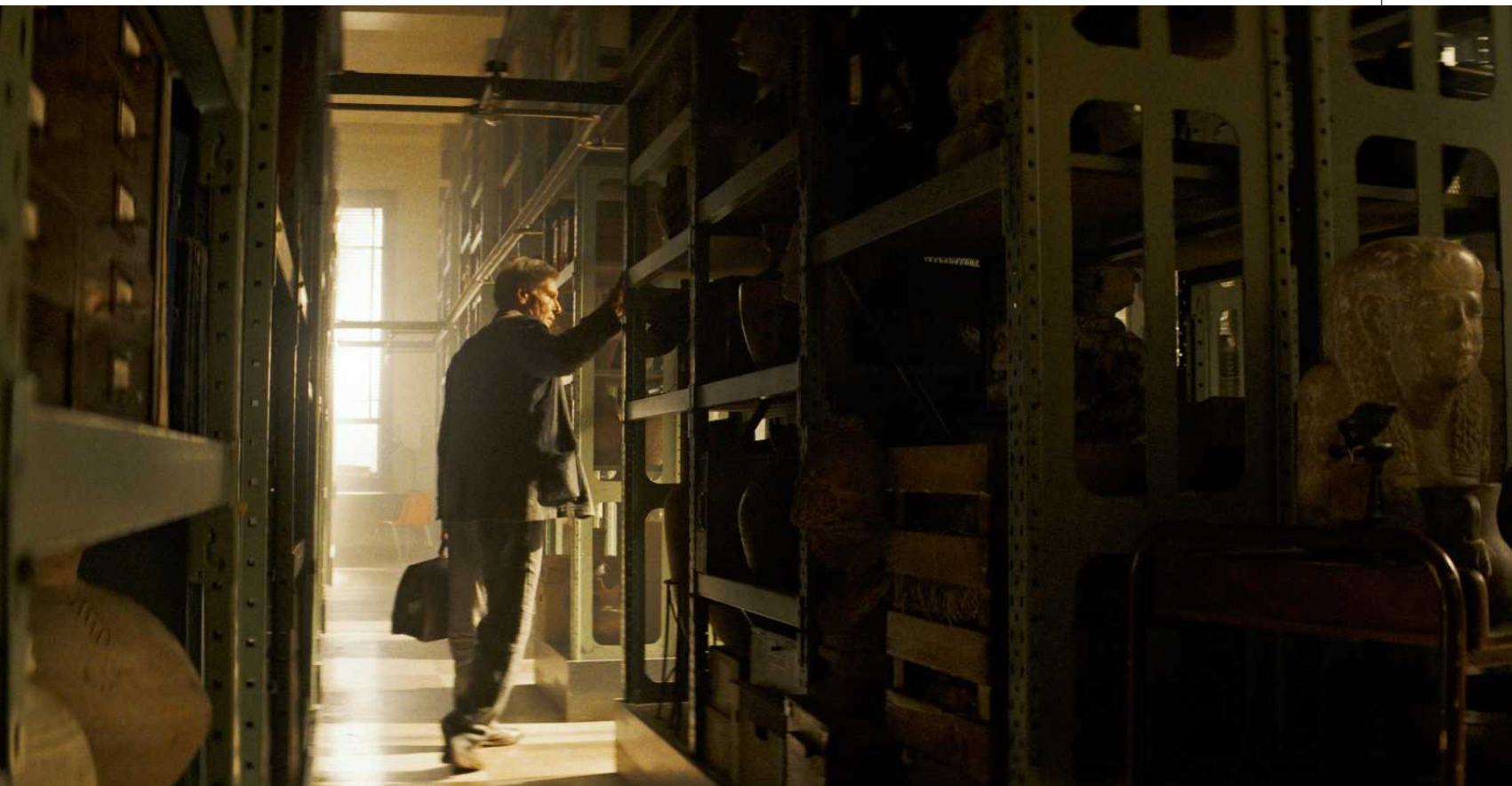
Jej nazwisko stało się znane za sprawą wybitnego serialu „Fleabag”. Phoebe Waller-Bridge opowiedziała w nim o niepewnej własnej wartości dziewczynie, która próbuje ułożyć sobie życie. Jej bezpruderyjność, umiejętność nazywania własnych bólek i celne komentarze na temat rzeczywistości sprawiły, że serial stał się hitem. Wtedy o Waller-Bridge zawalczyło Hollywood. W efekcie podjęła współpracę przy ostatnim „Bondzie”, gdzie postarała się, żeby otaczające 007 kobiety były postaciami z krwi i kości i odgrywały istotną rolę w napędzaniu akcji. Dzięki niej przesta-

ły być tłem dla głównego bohatera, a jego los zaczął od nich zależeć. Film okazał się spektakularnym sukcesem. Nie dziwi więc, że do Phoebe Waller-Bridge zwrócili się także twórcy najnowszego filmu o przygodach kultowego archeologa dr. Henry’ego „Indiany” Jonesa. Zaproponowali jej, żeby wcieliła się w chrześniaczkę bohatera, która wyciąga go z mieszkania, gdzie murszeje. Razem wyruszają na pełną przygodę wyprawę, która zbliży ich do siebie i uświadomi im, że choć są z innych pokoleń i reprezentują różne wartości, mają ze sobą więcej wspólnego, niż mogli podejrzewać.

Phoebe Waller-Bridge gra w filmie akcji! Zaskoczyłaś tym chyba nie tylko mnie.

To właśnie sceny akcji mnie najbardziej przyciągnęły do tego filmu! Wcześniej moja aktywność fizyczna ograniczała się do szaleńczego, pokraccznego biegu ulicą, kiedy uciekał mi autobus. To wszystko, na co było mnie stać. Ale pokochałam sceny akcji i marzę, by nakręcić kolejne. Od powodzenia tego, co robi moja bohaterka, bardzo dużo zależało. Nie chodziło tylko o to, żeby moje akrobacje ładnie wyglądały, ale też żeby dopełniały opowieść, żeby publiczność wiedziała, że stawka jest wysoka.

Podobało mi się, że w „Indianie Jonesie i artefakcie przeznaczenia” tak ważną rolę odgrywa nauka. Dzięki temu, że tworzą Helena i Indiana potrafią zastosować



prawo Archimedesa, mogą zająć dalej niż przeciwnicy. To było dla was ważne, żeby film promował naukę?

Wierzę, że kino może inspirować ludzi do działania i do zagłębiania się w różne tematy – pomaga nam zwłaszcza w poznawaniu historii ludzkości. W archeologii, która pasjonuje moją bohaterkę, wbrew pozorom nie chodzi o rzeczy z dawnych lat, tylko o ludzi. Poznawanie przedmiotów, które ich otaczały, pozwala nam dowiedzieć się, jak żyli, co myśleli, z czym się borykali, zrozumieć, co było dla nich ważne. Pozwala też nam uczyć się od nich.

Przygody Indiany Jonesa są na to świetnym przykładem – poszczególne części angażują widownię ze względu na pełne akcji przygody głównego bohatera, ale napędzają je odkrycia, historia i nauka.

Ciebie filmy też popychają do działania?

Kiedy angażuję się w jakąś historię, wyobrażam sobie siebie samą na miejscu postaci, którą gram. Jeśli przeżywa mroźące krew w żyłach przygody, to zadaję sobie pytanie, dlaczego ja nie mogłabym mieć podobnych doświadczeń. Co mnie ogranicza? Zastanawiam się wtedy nad sobą, badam własne granice.

Ale filmy są też przypomnieniem, że mogę coś stracić. Jeśli oglądam historyczny dramat sprzed kilkudziesięciu lat i widzę, co mogły, a czego nie mogły robić kobiety, przypomi-

nam sobie, że prawa, które posiadam i które dziś biorę za pewnik, nie są odwieczne i trzeba ciągle o nie walczyć.

Prawa i reguły rządzące kinem także się zmieniają. Wiele osób mówi, że dziś wyzwaniem jest zwłaszcza pisanie komedii, bo ludzie biorą żarty do siebie bardziej niż kiedyś. Wy jednak śmiejecie się z wieku Indiany Jonesa i jego ograniczeń wynikających ze starzenia się. Nie baliście się, że to może zostać uznane za niepoprawne?

Nie uznaję tematów tabu w komedii. Uważam, że można się śmiać ze wszystkiego, o ile

Nie, bo umiem się dostosować do reguł świata, do którego wchodzę. Taki humor nie należy do rzeczywistości Indiany Jonesa i nie był tu potrzebny. Trzeba umieć dostosować formę żartów do rodzaju opowieści, którą na ekranie snujemy. We „Fleabag” humor mógł być znacznie bardziej pikantny, bo oglądaliśmy bohaterkę, która zmagając się z niskim poczuciem własnej wartości, czuje się kimś gorszym ze względu na swoją pleć. W pewnym momencie przychodzi jej do głowy, że jeśli będzie otwarta seksualnie, wyzwoli się i nabierze przekonania, że jest wartościowym człowiekiem. Skutek

jest taki, że jako wrażliwy człowiek staje się jeszcze bardziej podatna na zranienie. Do takiej opowieści humor dozwolony od lat 18 pasował, do „Indiany Jonesa...” byłby doklejony na siłę.

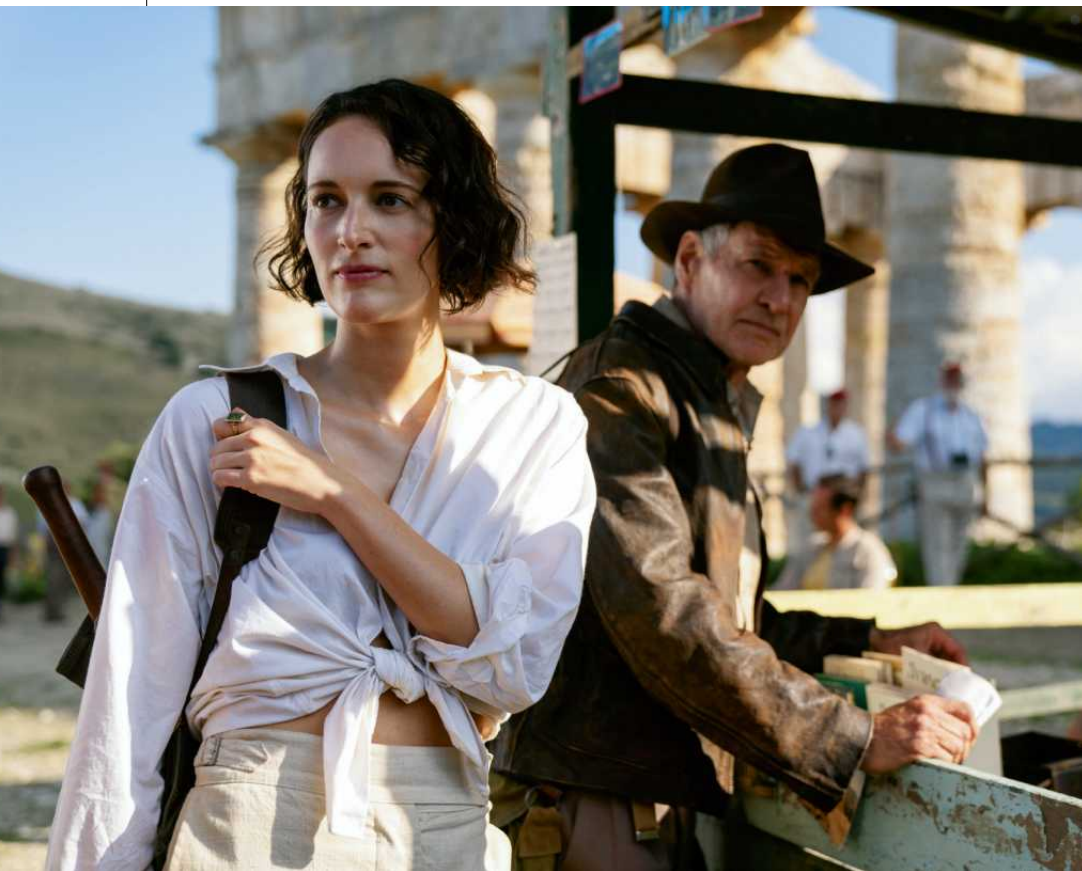
Gdy ktoś próbuje kogoś obśmiać,
nie staje się zabawny, tylko nudny.

Nic tak nie zabija humoru

tylko jest to rzeczywiście zabawne. Nie ma chyba nic gorszego niż nieśmieszne żarty z kontrowersyjnych tematów. To właściwie zbrodnia. Gdy ktoś próbuje kogoś obśmiać, nie staje się zabawny, tylko nudny. A nic tak nie zabija humoru jak nudzenie.

Nie kusilo cię, żeby do familijnego filmu wprowadzić trochę więcej bezpruderyjnych żartów?

Grasz chrześniaczkę Indiany, kobietę skrajnie różną od niego. Widać jednak, że między tobą a Harrisonem Fordem jest chemia, choć pochodzicie z innych generacji. Jak wam się udało do siebie dotrzeć? Harrison Ford jest niesamowicie energicznym człowiekiem. Do tego cały czas żartuje, a jako że jest odczytany i mądry, to jego poczucie humoru jest naprawdę żaźliwe. Bardzo nas wszystkich na planie



wspierał, był bardzo miły, opiekował się nami. Kiedy tylko się pojawiał, ludzie zaczęli się uśmiechać.

Akcja filmu osadzona jest w latach 60., kiedy przez Amerykę przetaczają się kolejne fale ruchów społecznych. Ludzie upominają się o swoje prawa i domagają się swobody, także seksualnej. Twoja bohaterka nie idzie z duchem czasu, nosi stroje jak z poprzedniej epoki.

Uwielbiałam ten strój! Helena jest archeolożką, która jeździ po świecie w poszukiwaniu drogocennych artefaktów, by opchnąć je na czarnym rynku za duże pieniądze. Nosi to, co jest dla niej wygodne, co nie krępuje jej ruchów i pozwala swobodnie korzystać z ciała. Nie dostosowuje się do etykiety, nie zważa na mody, trendy ani wymagania społeczne. Sama decyduje o tym, jak wygląda, bez oglądania się na innych. To wynik jej niezależności i odwagi. Razem z kostiumografką Joanną Johnston myślałyśmy o tym, by strój podkreślał, że Helena doskonale wie, kim jest. Ona nie poszukuje swojej tożsamości, tylko ma ją ukształtowaną, co wyraża się także poprzez to, co nosi. Nie pozwala sobie narzucić ani sposobu myślenia, ani sposobu ubierania się.

Lata 60. to czas, kiedy zaczęliśmy patrzeć w przód, myśleć tylko o przyszłości. Straciliśmy zainteresowanie historią, tym, co było. Jest w filmie scena, w której dr Jones jest na uniwersytecie i prowadzi pasjonujące za-

jęcia z archeologii. I choć opowiada ciekawe rzeczy, nikt go nie słucha. No bo co kogo obchodzi życie starożytnych, skoro za oknem tyle się dzieje: ludzie wychodzą na ulice i podbijają kosmos - pierwszy człowiek właśnie stanął na Księżycu. Dla ludzi takich jak Indiana Jones adaptacja do tych nowych czasów jest bardzo trudna, bo nie sposób pogodzić się z tym, że coś, w co zainvestowało się całe życie, nagle przestaje

Helena dostrzega, że ją i Indianę napędza ta sama pasja, że mają wiele wspólnego. Kibicuję takim *międzygeneracyjnym pojednaniom*

mieć dla innych znaczenie. W jego głowie kłębi się wiele złych myśli, a jedną z nich jest pewnie ta, że zmarnował życie.

I wtedy znienacka zjawia się u niego Helena, która choć trzy razy młodsza, ma tę samą pasję do poznawania przeszłości.

Ona wnosi w życie Jonesa ponownie wszystko to, dla czego żył i o co walczył. Przypomina mu o przygodach, jakie przeżył u boku jej ojca. Jest tak samo żądna przygód, uważa, że świat jest ciekawy, chce go zgłębiać. Helena - choć uparta, niezależna i lu-

biąca kłopoty - sprawia, że on znów czepie radość z życia.

Oczywiście, jest bohaterką cyniczną, więc rozpala Jonesa, bo ma w tym swój interes. Ale paradoks tej sytuacji polega na tym, że sama zaczyna zauważać, że można mieć autentyczną pasję do archeologii, która nie jest napędzana chęcią zysku.

Kiedy w mediach pojawiła się informacja, że teraz Indiana Jones zyska kompanię w postaci swojej chrześniaczki, bałem się, że Helena będzie zbudowana na jego modłę. Zadbaliście jednak o to, żeby to nie była „żeńska wersja dr. Jonesa”.

Helena ma inne problemy niż Indiana Jones i patrzy na świat inaczej. Nie ma takiej wiary w ludzi jak jej ojciec chrzestny. I właśnie to w niej kochałam - że ona dopiero uczy się otwierać na innych. Jest typem osoby, która boi się poprosić o pomoc, więc zamiast iść do Jonesa i powiedzieć mu, w jakich jest tarapatkach, decyduje się podejść go z zupełnie innej strony. Konsekwencje są katastrofalne. Ale ja właśnie to w niej lubię, że najpierw działa, a potem myśli i uważa, że jest samowystarczalna. Jej orężem jest inteligencja oraz humor. Jest też nieustraszona, co bardzo łatwo pomylić z lekkomyślnością. Ja w każdym razie jej wady postrzegam jako zalety!

Jako największą zaletę waszego filmu obok promocji nauki postrzegam waszą relację.

Helena dużo się uczy od Indiany. Pod koniec filmu jest taki moment, kiedy zdradza, że jej na nim zależy. Chociaż chciała go tylko cynicznie wykorzystać i chociaż wydawało jej się, że jego metody i przekonania są archaiczne, dostrzegła, że napędza ich ta sama pasja i że mają ze sobą więcej wspólnego, niż mogłoby się im wydawać. Uważam, że to piękny i ważny przekaz, szczególnie dzisiaj. Kibicuję takim międzygeneracyjnym pojednaniom.

Myślę, że staniesz się punktem odniesienia dla dzieciaków, które wybiorą się do kina. Na kogo się oglądałaś, przygotowując tę postać?

Reżyser mówił mi, że dla niego inspirująca była Barbara Stanwyck, co z jednej strony ułatwiło mi pracę, bo mogłam podejrzeć jej styl, a z drugiej - było przekleństwem, bo się od niej odbijałam. Ona jest moją idolką, uwielbiam jej styl gry. Ma w sobie lekkość i niewinność, co nie przeszkadza jej wiarygodnie grać postaci moralnie dwuznacznych. To, co osiągnęła w „Lady Eve”, robi na mnie wrażenie do dzisiaj. ♦

**IZA
KLEMENTOWSKA**

– reporterka i dziennikarka.
Autorka m.in. reporterskich
książek: „Samotność
Portugalczyka” nominowanej do
Nagrody „Newsweeka” im. Teresy
Torańskiej, „Skóra. Witamy
uchodźców” nominowanej do
Nagrody im. Beaty Pawlak
i „Szkielet białego słonia”, który
zyskał nominację do nagrody
Travelery. W ostatnich latach
napisała „Zapach trawy. Opowieści
o dzieciach hipisów” i „Minuty.
Reportaże o starości”

Lipa przed domem *babci*

Jeśli raz w miesiącu przez cały rok jedna osoba zasadzi jedno drzewo, to przybędzie ich dwanaście. Jeżeli sto osób – tysiąc dwieście, tysiąc osób – dwanaście tysięcy

TEKST DOROTA WODECKA; ZDJĘCIA
ADAM STĘPIEŃ/AGENCJA WYBORCZA.PL

mię i nazwisko - Iza Klementowska. Wiek - twierdzi, że po pierwsze, nie ma związku z tą rozmową, a po drugie, jakie ma znaczenie, ile kto ma lat. Jej to nie interesuje.

Miejsce zamieszkania - to tu, to tam, miesiąc, trzy, tydzień lub kilka dni. W Warszawie, u rodziców na Dolnym Śląsku i w świecie. Trochę w Stanach, trochę we Włoszech, trochę w Grecji. Wcześniej w Portugalii i w Mozambiku, ale też w Szwecji i Indiach. Nie ma mieszkania, za które płaci czynsz, ani kredytu. Pieniądze na życiowy constans wydaje na bilety, hostele, kwatery.

Bagaż - w plecaku laptop, w walizce ciuchy sezonowe, wybierane z szafy, która stoi w rodzinnym domu. Jedna para butów na sobie, druga w walizce, byle wygodne, podobnie z dwiema spódnicami. Jedna sukienka, jedna para spodni, jeśli sezon jest zimowy, i legginsy, bo joga i medytacja. Kilka koszulek na ramiączkach, narzutka, jedna, druga, i czerwona kurtka. Podróżny zestaw kosmetyków i książka, którą aktualnie czyta. Był i czytnik z cyfrową biblioteką, ale nie wie, gdzie go zostawiła.

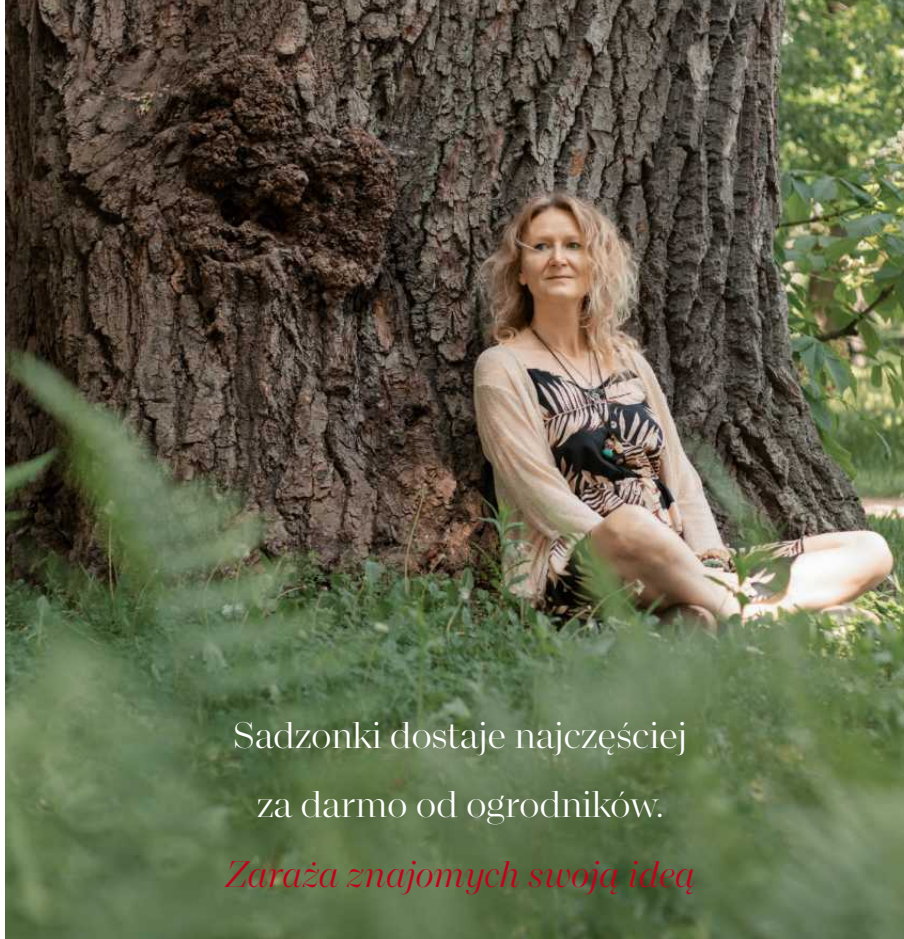
Po dwudziestym razie przestaje liczyć, który raz się przeprowadza. Każda przeprowadzka uczy ją, by mieć jak najmniej rzeczy, a jeśli już się nagromadza przez zasiedzenie, co się zdarzy dwa albo trzy razy, to przy zmianie miejscówki rozdaje je tym, którym się przydadzą.

Podróż - w poszukiwaniu swego miejsca na ziemi. Szlaki układają się tak, jak układa się życie reporterskie. Na jednym z nich spotyka szeptuchę, ale nie ustaje, czy jedzie do niej w Góry Sowie leczyć serce po skończonej miłości, czy po lekarstwo na arytmieję.

Kobieta patrzy w jej dłoń i mówi, że nie podoba jej się to, co w niej widzi. Bo Iza ma to, co i ona miała w przeszłości - „nieustanną chęć zmiany, jakąś dziwną pogoń za nie wiadomo czym”. Przez takie rozbieganie i bez korzenia znikniesz, dziecko, z ziemi szybciej, niż byś chciała - przepowiada i daje jej maść na korzenie. Maść, która pozwoli jej znaleźć dom.

Pytanie tylko, czy Iza potrzebuje korzenia. Wtedy w Gdańsku, gdzie zasiedziała się na dłużej i już jej się nawet wydawało, że jest gotowa się ukorzenić, nadal rzucało nią na prawą i lewą stronę mapy. Ale nie samą, tylko z nim i również z powodów zawodowych.

Nosi ją ciekawość, co jest dalej od miejsc, w których spędza kilka dni czy tygodni i jacy ludzie w nich żyją. Dziwnym trafem kiedy się tam zjawia, to oni pierwsi ją zaczepiają. Co tu robisz, pytają, i czy wszystko w porządku. Rozmawia z nimi o tym, co w danej chwili jest. Nie bardzo rozumiem, ale Iza wyjaśni mi to najprościej, jak można. Gdyby nie to, że spot-



Sadzonki dostaje najczęściej
za darmo od ogrodników.

Zaraża znajomych swoją ideą

kałyśmy się porozmawiać o drzewach, mogłybyśmy zacząć o genialnej owsiance, którą właśnie jemy we wrocławskiej knajpie Sorrir na Kotlarskiej, a potem podążyć w rewiry, które będą nam się odsłaniały z każdym kolejnym zdaniem. I tak właśnie dzieje się z nieznanymi. Bywa, że zapraszają ją do siebie na noc. Zdarza się, że pomieszkują u nich dłużej. Aż któregoś dnia budzi się i wie, że musi zaspokoić ciekawość i dowiedzieć się, co jest tam dalej.

◆◆◆

To co najmniej niefrasobliwe utknąć na bezludziu bez wody i w samochodzie z pustym bakiem. Wokół żywej istoty, krajobraz marsjański i tylko wiatr pędzi w różne strony wyschnięte kule krzewów.

Kończy pisać reportaż o ludziach mieszkających na pustyni, to ma być jedna z ostatnich jej tras po okolicach leżących w pobliżu Twentynine Palms w Kalifornii. Z zastrzeżeniem, że „poblże” wyznacza odległość kilkudziesięciu albo i ponad stu kilometrów. Wychodzi z samochodu z resztką wody i rusza przed siebie z nadzieją, że znajdzie wodę i człowieka, a jeśli nie, to zjedzą ją kojoty. Wyobraźnia potęguje uczucie samotności, bo w tym pejzażu nie jest trudno zderzyć się z kresem cywilizacji. Pustka, czerwona wysuszona ziemia i cisza. Po kilku godzinach marszu w butach, których podeszwy roztopią się od upału i pofalują niczym toń rzeki, przychodzi jej do głowy napominania rodziców, że po cholere się szlają po świecie, w końcu może się coś stać. Ale tym razem nic się nie stanie. Wspina się na piaszczyste wzniesienie i niespodziewanie znajduje się w niewielkiej odległości od siedzącego na krześle mężczy-

zny z nagim torsem, ogromnym brzuchem, w spodniach dresowych i crocsach na bosiszych stopach. Iza jest pewna, że ma solidną fatamorganę albo wizję jak po środkach halucynogennych, bo za jego plecami rozpościera się ogród obsadzony palmami, kaktusami i paprociami. Pustynia dookoła, człowiek i bujny ogród nie kleją jej się w jedno.

Frank okazuje się pół Aztekiem, pół Komanchem. W młodości pracował na platformie wiertniczej, ale wypadek zmienił jego plany. Z platformy trafił do Twentynine Palms, gdzie dostał robotę ogrodnika. Kiedy wychował i wypchnął na studia dziewięcioro swoich dzieci, przeniósł się za miasteczko, na pustynię, którą obsadza roślinami, kawałek po kawałku. Raz na kilkanaście dni służby miejskie przywożą mu w cysternie wodę, a kiedy mu jej braknie, jedzie samochodem kilkadziesiąt kilometrów do marketu. Wykopuje też niewielką studnię, którą obkłada kamieniami, by nie przesączał się do niej piasek.

Iza spędzi z Frankiem kilka dni. Posadzą wspólnie ponad sto drzew. A potem zadekduje mu swoją książkę pt. „Cztery strony drzewa”, której jednak w tamtej chwili w ogóle nie planuje.

Z pokładu samolotu lecącego do Europy widzi płonące lasy i wysuszoną ziemię, to czarną, to czerwoną. I wtedy przychodzi jej do głowy myśl, że skoro Frank może sadzić drzewa na pustyni, to i ona zacznie je sadzić wszędzie gdzie popadnie, co robi od czterech lat.

◆◆◆

Najpierw trzy u rodziców w ogródku. Dziesięć za płotem ich posiadłości. Dalej w lesie kolejne dziesiątki - świerki, sosny, dęby, lipy i uko-

chane brzozy. Wszędzie, gdzie jej się uda, również w Łazienkach (niedawno sprawdzi - żyją). W ogródkach znajomych wsadza w ziemię głównie owocowe. Podejrzewa, że nie mogą już słuchać jej gadania, że jedynie posadzenie miliardów drzew na całym świecie jest najskuteczniejszym sposobem walki z kryzysem klimatycznym, co wyczyta w „Guardianie”. I wyliczeń, że jeśli raz w miesiącu przez cały rok jedna osoba zasadzi jedno drzewo, to przybędzie ich dwanaście. Jeżeli sto osób - tysiąc dwieście, tysiąc osób - dwanaście tysięcy. I tak dalej w przyszłość i w miliardy.

Sadzonki dostaje najczęściej za darmo od ogrodników. Czasami wtyka w ziemię gałązkę w nadziei, że się ukorzeni. I chociaż zarządza znajomych swoją ideą, a ci z kolei zarządzą swoich znajomych, to nie jest naiwna, by nie wiedzieć, że życie nas goni i przytłacza i czasem własnych spraw ma się na głowie tyle, że nie sposób pamiętać o posadzeniu średnio jednego drzewa w miesiącu. Dlatego zakłada profil na Instagramie. Przekonuje: sadźmy drzewa, i zamieszcza ich fotografie z różnych zakątków świata. Po czterech latach od pierwszego apelu Izy pięć tysięcy osób sadi raz w miesiącu jedno. Drzew przyrasta, ale czy ich przyrost w globalnym ujęciu jest dodatni? Czy Izy nie dręczy myśl, że jedni sadzą drzewa dla planety, a inni je wycinają dla zysku? No tak, odpowiada, mogą się przypiąć do drzewa, kiedy jakaś firma deweloperska będzie je chciała wyciąć, ale to moje przypięcie na nic się nie zda. Dlatego wolę je sadzić, taki mam sposób na bezsilność.

◆◆◆

Najpierwsza jest lipa przed domem babci. Siada na ławce przed nią i po prostu patrzy na jej konary. Czuje się w jej cieniu bezpieczna i zaopiekowana. Lubi się do nich przytulać. Bo czym różni się drzewo od psa albo kota, do którego się tulimy? Słyszy je od środka i czuje spokój. Tak, to złudzenie jak z szumem morza w muszli przykładanej do ucha, ale wewnątrz toczy się życie, takie jak

w niej się toczy. Po jednej z sesji z grzybanami halucynogennymi zobaczy, że jej układ krwionośny jest jak drzewo, poczuje je wręcz w sobie i zrozumie, że jesteśmy tym samym życiem, mimo że odrębnym gatunkowo.

Kiedyś szeptucha z Kotliny Kłodzkiej powie jej, że wszystkie drzewa były kiedyś ludźmi albo zwierzętami, które w nagrodę za pomoc innym zostały przemienione w drzewa właśnie. A Orsun, Norweg mieszkający w drzewie, tak, w drzewie, na kilku metrach kwadratowych, o czym Iza napisze w książce, dopowie, że ono jest centrum kosmosu. Jego korona sięga nieskończonego nieba, pień żyje w świecie realnym, a korzenie zapuszczają się w przeszłość. W koronie żyją bogowie, w pniu zwykli śmiertelnicy, zaś w korzeniach zmarli przodkowie. I że z drzew powstałi pierwsi ludzie. Z wiązu kobieta, z jesionu mężczyzna.

Iza wertuje notatki ze swoich podróży i po historii Orsuna natyka się na wspomnienia Holendrów, którzy osiedlili się w Auroville. To miasteczko utopia, budowane od podstaw w Indiach, na nagiej ziemi, w której rosną rośliny sprowadzone ze wszystkich stron świata.

A potem na strażniczkę baobabu, która przestrzeże ją, by w życiu nie kapryśla. Bo i baobab był kapryśny od samego początku świata. Stwórca próbował go zasadzić, ale chciał, by był zadowolony i z okolicy, i sąsiadów. Zaproponował mokradła, drzewo przychnęło. Sawanna też mu nie odpowiadała. Ani tropikalna dżungla. Zniecierpliwiony cisnął nim z nieba, a ono wbiło się koroną w ziemię. To, co widzisz, mówiła Izie strażniczka baobabu, to są korzenie, a nie gałęzie. Baobab próbuje owocować pod ziemią, co przecież nigdy nie może się udać. I tak samo dzieje się z ludźmi. Jeśli ktoś kaprysi bez końca, bogowie umieszcawiają go w niezbyt przyjaznym środowisku, żeby nabrał odpowiedniej perspektywy.

Iza spisze te wszystkie historie, które przyszły do niej przez ostatnie lata. A kiedy otworzy notatki i uruchomi wyobraźnię, musi jej przyjść na myśl, że jej życie reporterskie od zawsze toczy się pomiędzy drzewami.

I że prawdopodobnie one mówiły do niej, że powinna o nich opowiedzieć.

◆◆◆

Od czasu spotkania z szeptuchą Iza źle się czuje z pytaniem, dlaczego się nie ukorzeni, i zła jest na siebie, że zadaje je sama sobie. Bo właściwie dlaczego w ogóle musi je sobie dawać?! Przecież może żyć wszędzie i nigdzie.

Mama Izy przekonuje ją, że człowiek powinien mieć swoje miejsce, swój kubek i swoją miseczkę, ale i to do Izy nie trafia. Bo ani kubka, ani miseczki jej nie potrzeba.

A kiedy w ten dialog odtwarzany w głowie znów włącza się szeptucha z tym swoim, że bez korzenia nie dowie się, kim jest, odpowiada, że akurat to wie już na pewno. Poza tym nie przepada za zastanawianiem się nad sobą, za roztrząsaniem swoich emocji i swojego ego. Za wychodzeniem do ludzi i rozmowami istotnymi bardziej lub mniej. W gronie pięciu osób to jeszcze wydaje się możliwe, ale kiedy przybywa rozmówców, gubi się, nie wie, do kogo się zwracać, i wtedy najczęściej milczy.

W podróży to co innego. Jest tylko świat dookoła, na który kieruje swoją uwagę. I ludzie, z którymi kocha rozmawiać. Introvertym plus chęć głębokiej rozmowy z obcym człowiekiem jawią się sprzecznością, której Iza nie potrafi inaczej wytłumaczyć jak tym, że jej nie ma. W podróży znika.

◆◆◆

Lipa sprzed domu babci też zniknęła. Wycieli ją nowi właściciele domu. Zastłaniała im widok, a jesienią musieli grabić opadłe z niej liście. ◆



IZA KLEMENTOWSKA
„Cztery strony drzewa”,
wyd. Marginesy

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

REKLAMA

Re:RZE 28-29 LIPCA
FESTIVAL SZŃW
Bulwary nad Wisłokiem



I INNI

ORGANIZATORZY:

AGORA wyborczapl

PARTNER GŁÓWNY:

Rzeszów Międzynarodowy

PARTNER:

ESTRADA RZESZÓWSKA

SPONSOR:

PERŁA

PARTNER MERYTORYCZNY:

zak's

PATRONI MEDIALNI:

wyborczapl HELIOS WP Rytm.pl HIRO helios media CBM

BILETY:

eBilet Going empiky biletu BILETOMAT kicket

Moja córka *palaczka*

Czułam, jakbym była bogiem. Byłam uzależniona od speedów, stymulantów, dzięki którym czułam, że mogę robić jeszcze więcej. Tyle że zaczęło się ze mną dziać źle

TEKST ZUZANNA BUKŁAHA

Chciałabym, żeby nikt mi teraz nie przerywał, żebyście po prostu mnie posłuchali. Bo jedyne, co na razie robicie, to jest zaprzeczanie wszystkiemu - Zuzia wypowiada te słowa przy stole w swoim rodzinnym domu. Ma 15 lat. Naprzeciwko nastolatki nieruchomo siedzą jej rodzice i brat. Czuć napięcie, ojciec co chwilę chowa twarz w dłoniach. Mają spuszczone wzrok.

Zuzia kontynuuje: - Jedyne, co robicie, to macie pretensje do siebie nawzajem. Pół roku temu zaczęliśmy mówić o tym, by się skupić na sobie, a wy nie przyjmujecie nic, ignorujecie to, co się do was mówi. Ta terapia - chodzicie na nią tylko po to, żeby ją odklepać. Nie macie żadnych refleksji. Nie traktujecie tego na poważnie. Mówicie, że mnie wspieracie. W jaki sposób? Prawdziwe wsparcie to by było, gdybyście w końcu wzięli moje pieprzone słowa na poważnie. I zaczęli coś ze sobą robić.

JAKBYM BYŁA BOGIEM

Dzisiaj Zuzia ma 18 lat, jest po maturze. I z niecierpliwością czeka na wyniki egzaminów do łódzkiej Filmówki. Ale trzy lata temu nie miała takich marzeń. Wtedy myślała o tym, co wciągnąć, by oderwać się od rzeczywistości.

Trudno jej powiedzieć, kiedy wszystko się zaczęło. To był proces.

Ma niecałe 15 lat, gdy po raz pierwszy sięga po alkohol i jointy. - Do tego czasu byłam dziewczyną, która nie wychodziła z domu. Siedziałam w książkach, serialach, zamknięta w swoim świecie rysunku - opowiada.

Wychowała się w Opolu. W rodzinie, jak mówi, ambitnej. W domu był nacisk na naukę, na to, by przeć do przodu. Wtedy poznała paczkę znajomych, którzy mają wszystko gdzieś. Żyją z dnia na dzień, nie stresują się tym, co będzie. - Nie martwili się o przyszłość, byli starsi ode mnie, wyluzowani. A ja tę ich postawę bardzo romantyzowałam. I tak zaczęły się moje imprezy, alkohol, narkotyki.

Jej pierwsze dragi? Piguła, ecstasy. - Czułam frajdę, jakbym była bogiem. Nagle zniknęły wszystkie moje kompleksy. Byłam uzależniona od speedów, stymulantów, dzięki któ-

rym czułam, że mogę robić jeszcze więcej. Tyle że szybko zaczęło się ze mną dziać źle. Pojechałam pierwszą falą uzależnienia.

Po którymś z pierwszych razów Zuzia mówi o tym rodzicom. - Wyznałam im, że wzięłam narkotyki, że coś jest ze mną nie tak, ale na początku to odrzucili. Nie chcieli sobie uświadomić, że może się to stać większym problemem. W końcu ich mała córeczka nigdy by się nie uzależniła. Ona, z takiego dobrego domu?

W końcu rodzice Zuzi nie mają wyjścia - muszą uwierzyć. Nie daje się nie zauważyć, że coś jest nie tak. Zuzia chudnie, nie chce wstawać z łóżka, ma skrajne wahania nastroju - od euforii po stany depresyjne. Zaczyna się samookaleczać. Wtedy rodzice reagują: przeszkadzają jej kieszenie, torby, pojawiają się nakazy i zakazy oraz szukanie terapeuty. - Któregoś dnia znaleźli narkotyki w moim staniku, bo to tam je najczęściej chowałam. Ganiał się po domu i zdaje się, że ugryzłam kogoś w palec. Totalnie irracjonalne zachowanie. Rodzice śledzili mnie też po mieście, a ja potrafiłam zniknąć na dwa-trzy dni.

Zuzia w końcu decyduje się na terapię. A jej brat Mariusz, student reżyserii, chwilę wcześniej sięga po kamerę.

CO POSZŁO NIE TAK

„Zuzia to uzdolniona plastycznie 15-latką z Opola, która zmagą się z uzależnieniem od narkotyków. Jej brat, reżyser, postanowił bliżej przyjrzeć się jej życiu i relacjom w swojej rodzinie” - tak najprościej można by skrócić fabułę dokumentu „Moja siostra”, który w maju miał premierę na 63. Krakowskim Festiwalu Filmowym.

Ta opowieść, choć z pozoru oparta na historii Zuzi i jej wychodzeniu z nałogu, przeobraża się w historię o relacjach między ludźmi. To ona wysuwa się na pierwszy plan. Taki filmowy naddatek. Brat Zuzi od pierwszych scen łapie najbardziej intymne chwile z życia rodziny, szuka źródła ich konfliktów i powodów, dla których Zuzia wpadła w nałóg. - Kręciłem ten film trzy lata, od 2020 r. Początkowo tematem miała być relacja mojego ojca z moją siostrą. Wszystko dlatego, że od lat obserwowałam ich zawiłą zażyłość opar-

tą na zasadzie „love and hate”. I jej nie rozumiałem. Ojciec jest emocjonalnie zamkniętą osobą, a Zuzia szybko wybucha, co przez całe życie bardzo mocno na nich oddziaływało - opowiada Mariusz.

W końcu rezygnuje ze swojego pomysłu. Dostrzega, że w opowieści brakuje mu pewnych elementów, które mogłyby dopełnić obraz. - Zdałem sobie sprawę, że problemem Zuzi nie jest tylko uzależnienie od narkotyków ani relacja z tatą, ale przede wszystkim skomplikowana konstelacja wszystkich zależności w naszej rodzinie. Dlatego bardzo szybko do filmu doszła mama, a potem także ja. Czułem, że jako brat muszę też wziąć w tym udział, skomentować to na ekranie. Ujawnić się, by się dowiedzieć, w jaki sposób zawiniłem i zawiodłem siostrę. A przede wszystkim, co leży u podstaw tej sytuacji.

Mariusz podkreśla, że w trakcie kręcenia filmu zdał sobie sprawę, że każdy z rodziny dokłada cegiełkę do tego, co przytrafiło się Zuzi. - Najważniejsze pytanie, jakie mną kierowało przy każdej scenie, brzmiało: co poszło nie tak w życiu naszej całej rodziny? Poczulem, że to jest temat mojego filmu i że właśnie to pytanie musi mnie prowadzić.

Mariusz obnaża przed widzami prawdę o swojej rodzinie, ale to Zuzia odsłania ze swojego życia najwięcej. - Nie miałam poczucia, że to obnażenie się jest dla mnie jakoś bardzo wymagające. Może wynika to z tego, że mam dość niestandardowe podejście do takich rzeczy? Ale przede wszystkim czułam, że nie mam się czego wstydzić. Choć pokazywałam siebie w sytuacji, gdy byłam najsłabsza, czułam, że wartość tego, co może powstać, jest dużo ważniejsza. Gdy Mariusz zaproponował, że będzie nas kręcił, odpuściłam poczucie strachu czy wstydu na rzecz ciekawości.

Wobec pomysłu najbardziej sceptyczny jest ojciec. W końcu zgadza się, by zrobić to dla córki. Zuzia uważała, że to może być jakiś sposób, by przełamać impas, w którym znalazła się ich rodzina. - Mama nie miała problemu, wiedziała, że Zuzia tego chce, i była nastawiona na to, by jej pomóc. Wydaje mi się, że rodzice także poczuli, że ten film może komuś pomóc. Szczególnie w kwestii przełamania się, jeśli chodzi o szczerość, która jest



najważniejsza, by rodzina mogła dobrze funkcjonować – dodaje Mariusz.

ZATRZYMUJESZ SIĘ W ROZWOJU

Szczeroci w filmie nie brakuje. Szczególnie w scenie, gdy Zuzia jedzie do zamkniętego ośrodka w Otwocku. Ma prawie 17 lat, ostatecznie robi to dobrowolnie.

Mariusz: - Chwilę wcześniej pozytywne wyniki badań na obecność narkotyków pojawiły się u Zuzi notorycznie. Zaczęło się szukanie winnych i wzajemne obwinianie. To był czas, w którym nikt nie wiedział, jak zareagować. Ja na pewno nie okazałem wtedy Zuzi wsparcia, wyjechałem na studia i byłem na nią zwyczajnie zły, że rozwala naszą rodzinę.

Wspomina, że gdy przyjeżdżał do rodzinnego domu, nie siadał z nią nawet przy wspólnym stole. - Gdy byłem w liceum, nie widziałem narkotyków na oczy. Nie znałem ludzi, którzy by brali. Zrzucałem jej zachowanie na tępą zabawę, a nie na emocjonalne problemy, z którymi się mierzyła.

Zuzia wciąż ucieka z domu, często nie wraca na noc. - Z dzisiejszej perspektywy wydaje

Zuzia: Jeśli ćpasz, to na ten czas zatrzymujesz się w rozwoju.

Jak trzeźwiejesz, nie potrafisz stawić czoła najprostszemu zadaniom

mi się, że robiła to wszystko, by pokazać nam, jacy jesteśmy fatalni – komentuje jej brat.

W ośrodku pod Warszawą Zuzia zostaje przez pół roku, z miesięczną przerwą. Pobudka o 6 rano, do 22 każdy pacjent jest w tzw. systemie pracy. Ma przydzieloną funkcję: pobudkowy, mopszczot, szef kuchni, prezes, który prowadzi spotkania, rektor, który zbiera zadania domowe, czy sportowy. Taka mała komuna, która ma dać pacjentom umiejętność konfrontacji i brania odpowiedzialności.

Zuzia: - Jeśli ćpasz przez trzy-cztery lata, to na ten czas zatrzymujesz się w rozwoju. Jak trzeźwiejesz, nie potrafisz skomunikować się z ludźmi. Ani stawić czoła najprostszemu zadaniom.

Ale to nie to było dla Zuzi najtrudniejsze w ośrodku. Tylko brak natychmiastowej gratyfikacji. W momencie, gdy brała narkotyki, nie musiała wkładać wysiłku, by poczuć się dobrze. - Będąc uzależnionym, traci się umiejętność docierania do celu – uważa.

Pobył w ośrodku to też zwykła szkoła, życie bez telefonu, papierosów, a nawet zakaz spożywania cukru, bo wszyscy przerzucają się na jedzenie słodczy. Niektórzy słodzili herbatę ośmioma łyżeczkami. Do tego system kar: za każde przewinienie pięć kółek dookoła ośrodka. Przez pierwsze dwa tygodnie Zuzia robi dziennie 30 okrążeń. - Wszystko przez to, że nie byłam w stanie wdrożyć się w grupę, nie umiałam im zaufać ani pokazać siebie prawdziwej. Buntowałam się.

W ośrodku codziennie odbywają się też dwugodzinne spotkania. Klasyczne grupowe rozmowy o tym, jak kto się czuje – o emocjach, lękach. Nauka szczeroci i czułości.



- I krytyki wobec samych siebie - precyzuje Zuzia. I dodaje: - Pobyt w ośrodku, choć niesamowicie trudny, był jak pozytywne pranie mózgu. Wyszłam stamtąd jako inna osoba. Problemem było jednak to, że wychodziło się do świata, w którym było się społeczną amebą. Do świata, który nie żył w szczerości ani wysłuchiwanie siebie nawzajem. To zderzenie było trudne.

Po opuszczeniu ośrodka Zuzia ma dwie wpadki. - Progres nie zawsze jest linearny. Są dni, kiedy batalię przegrywamy. Nasze schematy działają codziennie, takie myślenie, że jak sobie zajaram jednego jointa, to nic się nie stanie. Na szczęście po tych dwóch razach mój kac moralny był nie do zniesienia.

Gdy Zuzia bierze narkotyki, przychodzi do niej myśl: kurwa, to nie jest prawdziwy stan. - Myślałam o tym, ile mogę stracić, idąc w to po raz drugi. Udało się z tego wyrwać i nie wrócić.

Mariusz: - Zuzia nauczyła się pewnych mechanizmów obronnych, żeby sobie z uzależnieniem radzić. Ale wydaje mi się, że to wszystko by się nie udało, gdyby cała rodzina nie przeszła terapii.

Zuzia: - Choć było to dla nas jako rodziny trudne, to mam poczucie, że dzięki temu w końcu się na siebie pootwieraliśmy. Co więcej, po premierze filmu w Krakowie przyszła

Zuzia idzie po swoje
marzenia, chce
studiować animację.

Po wyjściu z ośrodka

*zerwała kontakt ze
znajomymi z młodości*

do mnie myśl, że dużo bardziej rozumiem swoich rodziców i Mariusza. Miałam do niego pretensje, czułam się przez niego opuszczona. Ale zrozumiałam, że każdy ma swój sposób reagowania na ciężkie sytuacje. Jedni ćpają, inni krzyczą, jadą przed siebie autem albo chwytają za kamerę. Wszystko po to, by coś zrozumieć.

NAJTRUDNIEJSZY CZAS W ŻYCIU

W trakcie seansu „Mojej siostry” nasuwa się pytanie, czy jeśli reżyser jest także bohaterem swojego filmu i podchodzi z kamerą tak blisko do swojej rodziny, to czy jest w stanie

zachować wobec historii dystans. - Bałam się tego braku dystansu, ale mogłem opierać się na operatorze i montażyście. Byli katalizatorami w odbiorze niektórych scen. Tym bardziej że początkowo czułem żal związany z tą sytuacją. Kamera pozwalała mi się jednak odciąć, zwyczajnie się za nią ukrywałem. Mogłem skupić się na tym, by obserwować to, co się dzieje. Choć nie ukrywam, że podczas kręcenia sam przeżywałem stany depresyjne i lękowe związane z tą sytuacją - opowiada Mariusz.

Zuzia podkreśla, że pobyt w ośrodku i film jej brata pomogły jej pozbyć się poczucia, że „to wszystko wina świata”. - W wieku 16 lat wydaje nam się, że rodzice powinni być idealni, jak superbohaterzy. A oni też próbują funkcjonować w nowych dla siebie światach i mierzą się ze swoimi problemami. Teraz mam świadomość, że ja też popełniłam parę błędów.

W filmie jest dramatyczna scena, w której matka Zuzi i Mariusza mówi, że może nie powinna mieć dzieci. Widać, że nie jest gotowa na to, co się wydarzyło w życiu ich rodziny. - Te trzy lata były najtrudniejszym okresem w moim życiu. Najgorsze było uczucie bezsilności i bezradności. Strach o życie córki. Towarzyszyły mi wtedy skrajne emocje: od złości na siebie, męża i Zuzię po

współczucie, miłość i żal – opowiada. I dodaje: – Co do tych słów... Były rzucone pod wpływem chwili i trudnych emocji, ale nigdy tak naprawdę nie poczułam, że nie chciałam mieć dzieci. Zawsze były największą wartością w moim życiu. Choć wtedy oczywiście najbardziej pragnęłam, by Zuzia z tego wszystkiego wyszła, a ta bezsilność właśnie z tym była związana, bo pomimo kolejnej terapii ambulatoryjnej nie przychodziły żadne efekty.

Każdy z członków rodziny Zuzi żył w swojej przestrzeni pełnej wzajemnych, często niewypowiedzianych pretensji. Jest też taka scena w filmie, w której nastolatka opowiada, że napisała kiedyś opowiadanie, które zatytułowała „Moja córka palaczka, a syn reżyser”. Wypomina rodzicom, że tak mówiono w domu o jej bracie. A o sobie słyszała: „Ty ćpunko”, „Patrz, co ty robisz, z kim ty się zadajesz”.

Dzisiaj ma dużo bliższą relację z rodzicami. Czuje, że tata otworzył się emocjonalnie. Nauczyli się, by nie wypominać sobie przeszłości. Rozmawiają na tematy, które wcześniej były przemilczane. A dzisiaj, po maturze, Zuzia idzie po swoje marzenia. Po wyjściu z ośrodka zerwała kontakt ze znajomymi z młodości. Chce studiować anima-

cję. I w końcu czuje, że potrafi wziąć za siebie odpowiedzialność.

Zuzia: – Nie czuję, żeby to był film tylko o mnie. To film o mnie, mojej mamie, tacie, Mariuszu. O tym, z jakiego punktu zaczynaliśmy i gdzie dziś skończyliśmy jako rodzina. Na pewno jest w nas dużo więcej wzajemnego zrozumienia.

Tata Zuzi i Mariusza wciąż nie widział filmu. Wciąż boi się, gdy Zuzia wychodzi wieczorami.

Mariusz: – Ma traumę, boi się przywołania wspomnień z najgorszego okresu swojego życia. Rozumiem to, ma do tego prawo. Choć uważam, że dobrze by było, gdyby film kiedyś zobaczył. Bo to też film o archetypie polskiego ojca: zamkniętego, wychowanego i wychowującego w patriarchalnym wzorcu. Ojca, który nie potrafi przyznać się do błędów ani emocjonalnie otworzyć.

Po pokazie dokumentu mama Zuzi i Mariusza nie kryła wzruszenia. Traktuje to jako symbol czegoś, przez co przeszli jako rodzina.

Mariusz: – Tu właśnie jest problem, że nie jesteśmy w Polsce nauczani, jak rozmawiać o emocjach. Mam poczucie, że gdy w rodzinie pojawia się problem, to zawsze szuka się winy w kimś innym, a nie w sobie. Terapia pomaga zrozumieć, że warto poszukać od-

powiedzi w naszych zachowaniach. Jednak wciąż wiele osób wstydzi się o pomoc poprosić. Mam znajomą, która ma problemy, i choć jej rodzice są wykształceni, na wysokich stanowiskach i w domu nie brakuje pieniędzy, otwarcie mówią, że nigdy nie pójda na terapię. To kwestia poczucia wstydu, które zostało nam narzucone. Chciałbym, żeby mój film coś w tej kwestii zmienił.

WIERSZ ZUZI Z OŚRODKA:

„Metalowe kraty w oknach, w głowie stan groźnego lotra/ martwy punkt w kamery oku, plastik zamiast szklanki soku/ klony (benzo) na braki poczucia kłęski i serca za trucia/ pozostaje skóra, kości, brak odwiedzin i brak gości/ głośny krzyk w korytarzu, w uszach szumi dźwięk zakazu/ stare znajomości giną, tamten chłopak był dziewczyną/ podpisy na materacu, życie na moralnym kacu/ kradzione dezodoranty, benzo opio stymulanty/ dzisiaj koniec mej udreki, żegnam się podaniem ręki/ wspomnę cię na następnym odwyku, do zobaczenia, psychiatryku”. ♦

„MOJA SIOSTRA”

reżyseria i scenariusz Mariusz Rusiński

REKLAMA



Gabriela Szymańska

makijażystka, stylistka fryzur oraz szkoleniowiec.

Współpracuje z gwiazdami polskiego show biznesu oraz przy sesjach zdjęciowych. Właścicielka salonu Gabriela Szymańska Make up Room

w podwarszawskich Ząbkach, w którym współpracuje z ośmiuosobowym zespołem.

W jej ofercie znajdują się szkolenia z upięć oraz makijażu, w trybie indywidualnym oraz grupowym. Prowadzi szkolenia dla fryzjerów oraz stylistów z Catej Polski i za granicą.

Już od kilku lat zajmuje się wydobywaniem piękna z przyszłych Panien Młodych i nie tylko, uwielbia uczestniczyć w przygotowaniach ślubnych. Współpracuje z usługodawcami ślubnymi z całej polski. Jej charakterystyczny styl podbija serca miłośniczek stylu Glamour. Inspiracje czerpie ze wschodu. Ciągłe podwyższa swoje kwalifikacje i wprowadza najnowsze techniki tak, aby spełnić oczekiwania swoich klientek oraz kursantów.

Realizuje zlecenia ślubne również za granicą, współpracuje z Wedding Plannerami.

www.gabrielaszymanska.pl



ZOŚKA PAPUŻANKA
„Żaden koniec”, wyd.
Marginesy

KSIĄŻKA

Inny początek

Czy śmierć kogoś najbliższego - w tym przypadku matki, babki, teściowej - może się okazać wyzwalająca? Czy może być początkiem procesu pozytywnych zmian, oczyszczeniem i szansą na ułożenie zaniedbywanych przez lata relacji? Na normalne funkcjonowanie rodziny i pozbycie się gromadzonych przez pokolenia toksyn? W swej najnowszej, bardzo udanej powieści „Żaden koniec” Zośka Papużanka daje prostą i zdecydowaną odpowiedź: tak, nawet jeśli brzmi to okrutnie, wraz z czymś odejściem może nadejść coś dobrego.

Krystyna nawet w ostatnich dniach swojego życia, przebywając pod opieką sióstr zakonnych, jest przekonana o tym, że kontroluje w sposób pośredni i bezpośredni życie wszystkich dookoła. Steruje odwiedzającymi ją członkami rodziny oraz pracownikami i klientami ośrodka, rozdaje razy i komplementy, próbuje dzielić i skłócać. Grozi, że na złość wszystkim umrze i dopiero wtedy zaczną się kłopoty. To sprawdzona od dekad metoda - właśnie w ten sposób „zarządzała” swoimi dwoma związkami, w ten sposób wychowywała dwójkę dzieci, tak chciała postępować z wnukami. Być może okazał się to całkiem udany pomysł na zemstę, odegranie się, wyrównanie rachunku krzywd?

Osierocona w dzieciństwie bohaterka Papużanki została wydana za wdowca, męża swojej starszej, przedwcześnie zmarłej siostry. Zmuszona do poświęcenia wolności i ciała w imię panujących w otoczeniu zasad przez całe życie szukała prawdziwej miłości. I zupełnie nie przejmowała się tym, że dorastające dzieci były świadkami jej licznych randek i przewijania się przez mieszkanie przypadkowych „wujków”. Z matki, rzadko kochającej i wyrażającej uczucia, zamieniła się w terrorystkę. Wielokrotnie udawała na przykład własną śmierć, rzekomo po to,

by córka i syn byli przygotowani na najgorsze - kładła się na łóżku i przestawała oddychać, zawieszała wszystkie funkcje życiowe. Nic nie robiła sobie z lęku, krzyku, przerażenia wydobywających się z gardła i oczu uczących się dopiero świata dzieci. A gdy już dorosły, potrafiła zniknąć na kilka dni (można rzec, że była prekursorką „ghostingu”), zasłaniała okna, nie reagowała na dzwonek do drzwi, nie odbierała telefonu. Zapadała się pod ziemię, by później - jak gdyby nigdy nic - powrócić do żywych i udawać, że nic się nie stało. Pierwszemu mężowi miała do zaoferowania wyłącznie chłód i nienawiść, drugiego, „przejętego” od innej kobiety, nigdy nie była w stanie docenić, wiecznie wymagała więcej.

Papużanka pokazuje w swojej najnowszej powieści, jak funkcjonuje toksyczna rodzina, jaką cenę płaci się za życie w upokorzeniu i odrzuceniu. Bo zachowanie Krystyny warunkowało poczynania i wybory kolejnych pokoleń, także wnuków - kuzynostwa, które mogło rozpocząć proces zbliżania się do siebie dopiero po śmierci babki. Wcześniej, nieprzerwanie ze sobą porównywane, nie ufało sobie nawet na odległość.

„Żaden koniec” to opowieść, która rozpoczyna się tam, gdzie zazwyczaj sagi się kończą - nad grobem. Ale zamiast rozpacz przychodzi poczucie wyzwolenia, zostawienia za sobą zła, szansy na przepracowanie odziedziczonych traum.

To książka napisana językiem często szorstkim, chwilami bezlitosna, a do tego złożona z niedługich, czasem zaledwie kilkudziesięciu rozdziałów. Ale udało się Papużance - również dzięki przyjętej formie - dotrzeć do tego, co najbardziej w tej opowieści istotne: do sensu bliskości i potrzeby zrozumienia rozmaitych zachowań wynikających z fałszywego lub niepojmowanego poczucia odpowiedzialności za kogoś bliskiego, z naszej krwi. ♦ Michał Nogaś

MUZYKA

PJ Harvey
improvizuje

„Nowa płyta jest o poszukiwaniu intensywności pierwszej

miłości i głębszego znaczenia. Nie, żeby musiało być jakieś przesłanie, ale uczucie, które mi towarzyszyło przy tworzeniu tej płyty, to uczucie miłości – jest zabarwione smutkiem i stratą, ale to nadal jest miłość” – mówi o swoim najnowszym albumie PJ Harvey, brytyjska wokalistka, autorka tekstów i multiinstrumentalistka.

„I Inside the Old Year Dying”, który ukazuje się siedem lat po nominowanym do nagrody Grammy „The Hope Six Demolition Project”, to już dziesiąta studyjna płyta PJ Harvey, nad którą pracowała ze swoimi długoletnimi współpracownikami – Floodem i Johnem Parishem. Znalazło się na niej 12 dość spokojnych, choć odważnych kompozycji, które według słów samej PJ oferują „przestrzeń do odpoczynku, ukojenie, pocieszenie, są balsamem dla duszy – co jest bardzo aktualne w czasach, w których się znajdujemy”.

Artystka przyznała, że brzmienie wielu utworów to efekt improwizacji, której chętnie oddawali się w studiu, pomysły rodziły się już w momencie nagrywania. Słychać to zresztą na płycie, która przypomina nieco koncertowe nagrania „na żywo”, zachęca do nasłuchiwanie tego, co dzieje się w tle, bywa surowa, może nieco niedoskonała, ale przez to bardzo ludzka. A jak PJ Harvey naprawdę brzmi na żywo, będzie można przekonać się podczas koncertów 24 i 25 października w warszawskim klubie Palladium. ♦

(Joanna Wróżyńska)

PJ HARVEY „I Inside the Old Year Dying”, Partisan Records / PIAS

FILM

Młodszy chłopak



W kinie brakuje dziś zabawnych komedii romantycznych z dobrym aktorstwem. Takie jest „Bez urazy”. Jennifer Lawrence świetnie radzi sobie w roli 32-letniej Maddie pracującej w barze i dorabiającej w uberze, żeby móc zapłacić podatki. Najpierw chaotyczna i przebojowa, potem ciepła i wrażliwa, kontrastuje z niezręcznym 19-letnim Percym, który niebawem ma wyjechać do studia (Andrew Barth Feldman). Jego nadopiekuńczy rodzice wynajmują Maddie, żeby chodziła z nim na randki i go rozdziewiczyła. Pomysł podobny do „Miłości na zamówienie” z 2006 roku, ale realizacja zupełnie inna. Relacja kobiety po trzydziestce z młodszym o ponad dekadę mężczyzną to w kinie rzadkość i odwaga twórców. A wszystko dzieje się w urokliwym Montauk nad Atlantykiem. ♦ (Zuzanna Kuffel)

„BEZ URAZY”, komedia, reż. Gene Stupnitsky

FESTIWAL TEATRALNY

Szekspir
by się uśmieł

Ruszyła już sprzedaż biletów na 27. Festiwal Szekspirowski i warto się pośpieszyć – mogą zniknąć szybko. A to dlatego, że w tym roku na festiwalu zobaczymy wiele znakomitości. Warto zapolować na bilety na „Billy’s Joy” znakomitego kolektywu teatralnego Needcompany z Belgii. Dwa lata temu zespół mówił w spektaklu „Billy’s Violence” o przemocy w sztukach Szekspira. Teraz sięga po radość i śmiech. „Radość ma wiele aspektów. Chcę skupić się na jednym z nich – na pojednaniu. Pojednanie jest pojęciem, o którym można mówić

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI POLECA WIERSZ

między platkami
kladzionymi na grzbiecie
pokrytym sokiem z brzozy

tych migotliwych
afektem mroku
zgiełkiem

możliwością dysponowania
przestrością korytarzy
nieufnością albo
powabem

chęcią
wykwitłą z perspektywy
zgiętej w pól przy pracy

ADA RĄCZKA jest poetką, jej ostatnią książkę „Chciałośmy” opublikował Staromiejski Dom Kultury

MAGORZATA HALBER RYSUJE



wić wiele. Stanowi ważny motyw twórczości komediowej Szekspira. Pogląd, że komedie są zabawne, a tragedie nie, to w rzeczywistości błąd interpretacyjny. Jedyną różnicą w poetyce między komedią a tragedią (według Arystotelesa) polega na tym, że komedia kończy się dobrze, a tragedia źle – zapowiada reżyser Jan Afung Lauwers. – Niewiele można powiedzieć o aktualności Szekspira. W istocie przedstawienia sztuk z kanonu, takich jak sztuki Szekspira, od dawna są niepotrzebne. Dlatego nie jest moim zamiarem stworzenie spektaklu kanonicz-



nego. Chodzi mi raczej o historię, czyli o nasze uchybienia. Kto nie chce znać przeszłości, ten nie chce znać sam siebie. Podejście do przeszłości jest fundamentalną kwestią tożsamościową, by nie powiedzieć prawem podstawowym, i nie ma w społeczeństwie, w którym możliwe jest pojednanie, ani jednej osoby czy instytucji, która mogłaby artystę lub jego publiczność tego prawa pozbawić – mówi Lauwers. Podczas festiwalu zobaczymy również m.in. słynny już spektakl „Sen nocy letniej” w reżyserii Justyny Sobczyk i Jakuba Skrzywanka, „Projekt Burza” w reżyserii Petera Brooka i Marie-Hélène Estienne, a także samą Charlotte Rampling w kameralnym spektaklu „Szekspir i Bach”. ♦

27. FESTIWAL SZEKSPIROWSKI, 26 lipca – 6 sierpnia, festiwalszekspirowski.pl

ekościągawka od Szwajcarów

Szwajcarzy postanowili walczyć z negatywnym wpływem turystyki na środowisko. Swoją nową strategię nazwali swisstainable. Doświadczylam niektórych jej przejawów

TEKST I ZDJĘCIE EWA TOMKOWSKA

Co tak właściwie oznacza ekoturystyka, ekologiczne podróże? Wiele zależy od tego, jaką wartość środowiska postanowiliśmy chronić. Dla kogoś, kto dba o klimat, największe znaczenie będzie miało to, jakim środkiem transportu podróżuje. Dla osoby, której zależy na przyrodzie, najważniejsza będzie ochrona dziewiczej natury. A dla tych zatroskanych odpadami ważne będą ich segregacja i ograniczenie. Wszystkie te podejścia mają swoje uzasadnienie i wpisują się w ekologiczną turystykę, a co najważniejsze, opłacają się miastom, turystom i środowisku.

Rozumieją to Szwajcarzy. Wprowadzili nową strategię turystyczną i nazwali ją swisstainable. Jej założeniem jest odpowiedzialne podróżowanie, które wywiera jak najmniejszy wpływ na środowisko. Rządzącym zależy, by stało się ono bardziej rozsądne i miało jak najmniejszy negatywny ślad węglowy. Szwajcarska Rada Federalna zobowiązała się do osiągnięcia neutralności węglowej Szwajcarii do 2050 r. Uwzględniła najnowsze zalecenia Międzynarodowego Zespołu ds. Zmian Klimatu (IPCC). Nowa strategia turystyczna jest kluczowym elementem realizacji tego zobowiązania.

Na czym polega szwajcarskie zrównoważone podróżowanie i wypoczywanie? Podaję na przykładach z własnej wycieczki.

POWITALNA KRANÓWKA

Hotelowy pokój, a na biurku dwie szklane butelki z wodą – jedna jest gazowana, druga bez bąbelków. To już standard hotelowy w wielu państwach świata. Ale Szwajcarzy się do niego nie stosują, wyznaczają inne trendy. Na stoliku w hotelowym pokoju najczęściej możemy spotkać karafkę i dwie szklanki. W ten sposób hotele zachęcają do korzystania z wody z kranu w hotelowej łazience. Jeden z odwiedzanych przeze mnie hoteli miał na karafkach napis: „Wlej tu kranówkę, ona jest zajebista”. Ten slogan nie mijal się z prawdą, bo w Szwajcarii woda jest najbardziej kontrolowanym produktem spożywczym.

Szwajcarię warto zwiedzać z butelką wielorazowego użytku. W wielu miejscach



można spotkać krany z wodą pitną. W Lucernie – mieście w środkowej Szwajcarii – jest dziewięć fontann, a osiem z nich uzupełnianych jest wodą płynącą prosto ze źródeł znajdujących się w pobliżu góry Pilatus. Można bez strachu pić z nich wodę. Jest to nie tylko bezpieczne, lecz także zdrowe i smaczne.

W jednej z restauracji, gdy poprosiłam o wodę, kelnerka z uśmiechem wskazała mi karafkę w rogu lokalu. W każdym momencie posiłku mogłam podejść i wziąć kolejną. Dostępna była jedynie ta najlepsza, czyli z kranu.

WIOSKI BEZ SAMOCHODÓW

W Szwajcarii można znaleźć miejsca, do których samochody nie mają wstępu. Co nie znaczy, że nie można do nich dotrzeć. Wiele z nich jest świetnie skomunikowanych – dostaniemy się do nich kolejką linową albo pociągiem.

Miejscowość Rigi Kaltbad, położona 1433 m n.p.m. na górze Rigi leżącej w Prealpach Szwajcarskich, od początku swojego istnienia była miejscem wolnym od ruchu samochodowego, zapewniając w ten sposób przyjezdnym prawdziwy wypoczynek. W ośrodku można skorzystać ze spa (Mineralbad & Spa Rigi Kaltbad) czy wybrać się na wędrowkę górską. Dojechać tutaj najlepiej kolejką linową.

Do położonej wyżej miejscowości Rigi Kulm można się dostać koleją zębatą Rigi Bahn, która jest najstarszą tego typu koleją

w Szwajcarii. Sam dojazd jest więc dużą atrakcją.

Inne miejsca wolne od ruchu samochodowego w Szwajcarii to region Blatten-Belalp i Melchsee-Frutt, miejscowość Saas-Fee i Bettmeralp, a także wioska Mürren. Do centrum tej ostatniej można dotrzeć pociągiem lub kolejką linową, a na miejscu cieszyć się niepowtarzalnym klimatem i architekturą drewnianych domów.

Do Bettmeralp również można się dostać kolejką linową prosto z doliny. To miejsce znane jest z tego, że słońce świeci tu przez 300 dni w roku.

DBAŁOŚĆ O TO, CO LOKALNE

W porównaniu do innych krajów w Szwajcarii spożywa się najwięcej organicznych produktów na osobę. Szwajcarscy dostawcy od lat prowadzą w rankingach odpowiedzialnego rozwoju. Szwajcarzy bardzo starają się też dbać o drobnych przedsiębiorców wyrabiających regionalne produkty.

Kuchnia Szwajcarii jest bardzo różnorodna, każdy region słynie z własnych specjalów. Aż 400 z nich uznano za część dziedzictwa kulinarnego kraju. Szwajcarzy są dumni z własnych produktów i potraw. A ta duma przekłada się na szacunek do tego, co pochodzi z pobliskich ziem.

W wielu restauracjach w menu można znaleźć stronę poświęconą wytwórcom produktów spożywczych, z których zrobione są dania. Będąc w restauracji Lok 7 na górze Rigi Kulm, jadłam tradycyjne dla niemieckojęzycznych rejonów danie – rösti (tarte i smażone ziemniaki z serem), w którym ser pochodził z miejsca znajdującego się 30 minut spacerem od restauracji.

Dzisiaj wiele produktów przebywa bardzo długą drogę, zanim dotrze do końcowego klienta. Wiąże się to z istotnym śladem węglowym, ale też ze znaczną ilością środków konserwujących użytych do zachowania świeżości przewożonego jedzenia. Klientom trudno sprawdzić, skąd pochodzi produkt i jak został wytworzony.

Według badań kupowanie żywności od lokalnych producentów może wiele zmienić na korzyść nas wszystkich, np. obniżyć ślad węglowy o nawet 4-5 proc.

KOBIETY W PODRÓŻY

FARMY W ŚRODKU MIASTA

W szwajcarskiej Wenecji, czyli Lucernie, tuż za murami Starego Miasta znajduje się ekologiczna farma. Hodowane są w niej zwierzęta – górskie bydło, kury, świnie, alpaki. Drzwi stajni oraz teren farmy są otwarte dla zwiedzających.

Pia i Walter Fassbindowie prowadzą to gospodarstwo od 2000 roku. Wraz ze współpracownikami uprawiają ziemię o powierzchni 2,4 hektara. Rosną na niej 52 drzewa owocowe, m.in. wiśnie, jabłonie, grusze, orzechy włoskie i kasztanowce. Starają się też dbać o roślinność i zwierzęta, które żyją na tym terenie w stanie dzikim. Niektóre populacje dzięki ich działalności się odtworzyły.

Koło farmy znajduje się sklep, gdzie sprzedawane są wyłącznie lokalne i ekologiczne produkty. Jedynie kawa i czekolada nie pochodzą od regionalnych dostawców. Jest też restauracja, która jako pierwsza w Szwajcarii serwuje dania ze składników w ponad 90 proc. ekologicznych.

Zarządcy farmy unikają marnowania żywności i bardzo dbają o zrównoważony rozwój w kulinarnym świecie.

Farma ma też misję edukacyjną. Dzieci i dorośli pochodzący z miasta mogą zobaczyć, na czym polega ekologiczna uprawa, i przywitać się ze zwierzętami.

KONKURS „NIETYPOWE MIEJSCE NA WAKACJE”

Jeśli wakacje z biurem podróży, w hotelu to dla ciebie marna atrakcja, na urlopie szukasz przygód i w tym celu wybierasz nietypowe miejsca, ten konkurs może być dla ciebie. Opisz najbardziej niezwykle wakacje. Podziel się z nami pomysłem na urlop w oryginalnym miejscu, które poza odpoczynkiem zapewni trochę emocji, adrenaliny, przeżyć. Może to być domek na drzewie, szałas, barka czy lodowy hotel za kołem podbiegunowym. Konkurs trwa od 24 czerwca do 31 sierpnia. Żeby wziąć w nim udział, należy wypełnić formatkę konkursową dostępną na stronie

wysokieobcasy.pl/kobietywpodrozy

TRANSPORT PUBLICZNY

Codziennie 9 tys. pociągów kursuje na trasach liczącej prawie 3 tys. km sieci kolejowej. W Szwajcarii nawet do małych i odległych miejscowości można dotrzeć transportem publicznym.

To duża zachęta do tego, aby zostawić samochód i przetrzymać się na bardziej ekologiczny pociąg. Ale Szwajcarzy takich zachęt stosu-

ją więcej. Można na jednym bilecie skorzystać z wielu przejazdów. Swiss Travel Pass pozwala na odkrywanie Szwajcarii nie tylko pociągiem, ale też autobusem lub statkiem.

To szalenie wygodne rozwiązanie. Wsiadacie do pociągu, zatrzymują was piękne widoki (a tych w Szwajcarii nie brakuje), więc wysiadacie i wsiadacie do następnego, by później przesiąść się do autobusu. Ograniczyć was może tylko wyobraźnia.

W ramach Swiss Travel Pass można skorzystać m.in. z pociągów panoramicznych: Ekspresu Lodowcowego, Ekspresu Bernina, Ekspresu Złotej Przełęczy, ze środków komunikacji w miastach, wolnego wstępu do muzeów w całym kraju (ok. 500 obiektów), a także macie 50 proc. zniżki na wybrane kolejki górskie.

Kolejna zachęta to świetna infrastruktura na dworcach kolejowych. Na peronach jest wiele udogodnień dla osób z niepełnosprawnościami. Są m.in. rampy, windy i podjazdy, które przydają się też podróżującym z ciężką walizką.

Do tego szwajcarskie pociągi są po prostu ładne i ciche. Czerwone wagony pięknie wyglądają na tle buzującej szwajcarskiej zieleni. ♦

Wyjazd autorki zorganizowany przez Szwajcarską Organizację Turystyki MojaSzwajcaria.pl

OGŁOSZENIA

KONKURS

Najdziwniejsze miejsce na wakacje? Domek na drzewie. Szałas. Barka. A może domek lodowy?

Jeśli wakacje z biurem podróży to dla ciebie żadna atrakcja, nie jesteś typem spokojnej działkowiczki, a raczej na urlopie szukasz przygód i wybierasz nietypowe miejsca, ten konkurs może być dla ciebie.

W najnowszym konkursie w ramach cyklu „Kobiety w podróży” chcemy poznać Wasze najbardziej nietypowe miejsca na wakacje. Podzielcie się z nami oryginalną miejscówką, która poza odpoczynkiem zapewni trochę emocji, adrenaliny, przeżyć. Może to być domek na drzewie, szałas, barka czy hotel lodowy.

NAGRODY:

SUBARU XV na 5 dni z pełnym bakiem



Laptop ASUS Zenbook S 13 OLED



5 zestawów do manicure hybrydowego marki NEONAIL i 5 lakierów z letniej kolekcji You're A Goddess



5 bransoletek srebrnych pozłacanych z kolekcji Simple marki YES



5 zestawów kosmetyków z serii Famille BIO marki YVES ROCHER



PARTNERZY KONKURSU:

ASUS

NEONAIL

YES SUBARU

YVES ROCHER
Bretagne, France



KOBIETY
W PODRÓŻY

Konkurs trwa od 24 czerwca do 31 sierpnia. Żeby wziąć w nim udział, należy wypełnić formatkę konkursową dostępną na stronie wysokieobcasy.pl/kobietywpodrozy.

Dyskretny urok *kodu*

„Kobieta informatyk jest jak świnka morska: ani świnka, ani morska”. Seksistowskie żarty to niejedyny problem, z którym muszą się mierzyć kobiety w świecie IT

TEKST PATRYCJA PUSTKOWIAK

Rita, programistka: - Kto mi poda szklankę wody na starość? Mam nadzieję, że mój osobisty robot kamerdyner.

Joanna, programistka: - Moja grupa „Programuj, dziewczyno!” ma dziś 30 tys. członkiń. Jak widać, dużo kobiet chce kodować.

Paula, cyberstrażniczka: - Przeprowadzamy kontrolowane ataki na infrastrukturę informatyczną organizacji. Naszymi klientami są na przykład banki.

TO NIE CZARNA MAGIA

- Na początku nic nie wróżyło mi dobrej relacji z programowaniem. Ja nie chciałam „kodzić”, a kod nie chciał działać. A jednak dzisiaj nie potrafię sobie wyobrazić, że jestem kimś innym niż programistką - mówi Małgorzata Lyczywek, jedyna Polka, która znalazła się na liście 100 Technologists to Watch tworzonej przez międzynarodową fundację Women Who Code. Wyróżniono ją za zaangażowanie w sieci na rzecz ukraińskich uchodźczyń przybywających do Polski po wybuchu wojny z Rosją.

Plan był inny. Rita - bo tak ją wszyscy nazywają - chciała być lekarzem jak jej dziadek i jeździć na misje medyczne. Przyznaje, że matura nie poszła jej tak, jak chciała. Trafiała na bioinformatykę na Politechnice Poznańskiej. Na drugim roku studiów dostała się na staż jako webdeveloper w dziale IT i zaczęła projektować strony internetowe.

- Odkryłam, że programowanie może być fajne. To nie czarna magia dla wybranych, ale rzecz logiczna, związana z designem i użytecznością. Wciągałam się - opowiada. - Mimo że niektórzy mi to odradzali, na przykład babcia, dla niej lekarz to zawód z prestiżem, a informatyk to był taki fach dla chłopaka. Odkąd obie jej wnuczki zostały programistkami, zmieniła zdanie - śmieje się.

Kiedy niemal dziesięć lat temu Rita zaczęła pracę, miała pod górkę. - Słyszac „informatyk”, ludzie wyobrażali sobie faceta we flanelowej koszuli, stukającego po nocach w klawiaturę znad pudełka z niedojedzoną pizzą.

W pierwszej firmie była jedyną kobietą w zespole. - Moi koledzy żartowali, że pod-

noszę poziom kultury. Mówili: „To prawie jakbyśmy wyszli z naszej piwnicy”. Dział IT faktycznie znajdował się w piwnicy jak w serialu „Technicy magicy” - opowiada Rita. - Chodziłam na wydarzenia dla programistów, gdzie na 50 czy sto osób byłam jedną z trzech kobiet na sali. Zdarzały się seksistowskie żarty: „Idą dwie dziewczyny, jedna brzydka, a druga też z politechniki”. Albo: „Kobieta informatyk jest jak świnka morska - ani świnka, ani morska”. Na pierwszym roku studiów wykładowca rzucił żartem, że dostrzega jakiegoś dziecięcego dziewczyn na sali wśród stu panów, więc muszą się spieszyć, żeby nas sobie zaklepać.

Dziś jest lepiej. Widok kobiety w branży stał się normą. - Reliktem tych czasów jest choćby kanał na Youtube Coding Babes z 2014 roku, w którym kurs kierowany do mężczyzn był prowadzony przez mocno wydekoltowane aktorki, a teksty, jakie tam można było usły-

szę, brzmiały: „Osobiście wolę, kiedy uczymnie gorąca babka” - wspomina Rita.

Choć nie miała wokół siebie zbyt wielu kobiecych wzorców, działała. Założyła bloga FlyNerd, na którym pisze o programowaniu i innych tematach związanych z branżą IT, bo zależy jej na tym, by wszyscy mieli dostęp do wiarygodnego źródła wiedzy. Prowadzi prelekcje i wykłady. Można ją spotkać jako mentorkę na warsztatach. - Te dla kobiet, takie jak Django Girls, Rails Girls czy girls.js, może nie zrobią z ciebie programistki w dwa dni, ale pokażą, czy programowanie w ogóle jest dla ciebie, i uświadomią ci, że nie jesteś sama, wkoło są też inne kobiety, które chcą programować - tłumaczy.

Dziś już cieszy się z tego, że nie jeździ na misje, ale pracuje jako inżynierka oprogramowania w Wizards of the Coast. Choć znowu jest jedyną dziewczyną w zespole, wokół niej



Rita Lyczywek

jest już sporo kobiet. To ważne z wielu powodów. - Łatwiej sobie wyobrazić siebie jako nauczycielkę, lekarzkę, prawniczkę, gdy je widziałyśmy. W obszarze nauki i technologii, określanym skrótem STEM (science, technology, engineering, mathematics), wciąż tych obrazów jest mało - mówi.

A przecież kobiety były pionierkami w tych dziedzinach. Choć z Adą Lovelace historycy mogą mieć problem, bo stworzyła kod na maszynę liczącą, zanim powstały komputery, to bez wątpienia oprogramowanie na pierwszy na świecie komputer ENIAC zostało napisane przez sześć kobiet: Kay McNulty, Jean Jennings, Betty Snyder, Marlyn Wescoff, Fran Bilas i Ruth Lichterman, dla amerykańskiej armii w czasie II wojny światowej.

- To, że dziś nadal jest nas mało w świecie IT, nie wynika z tego, że nie jesteśmy zainteresowane nowymi technologiami, tylko że nie wiemy, jak zacząć, albo w głowach pracują nam krzywdzące stereotypy - mówi Rita Łyczywek. - Szkoda, bo wszyscy na tym tracimy. Czy zamierzam pracować nad tym, by to zmienić? Jasne. Do tego stopnia, że na pytanie o to, kto mi poda na starość szklanke wody, lubię odpowiadać: „Mam nadzieję, że mój futurystyczny robot kamerdyner”.

SAMEJ WPISAĆ KOD

- Jak sobie wyobrażałam przyszłość? Chciałam być tłumaczką. Studiowałam indologię, uwielbiałam Indie i język hindi, myślałam, że będę przekładać teksty z tego języka na polski albo chociaż uczyć go Polaków - mówi Joanna Otmianowska.

Tymczasem kiedy już wkroczyła na rynek pracy, okazało się, że praca tłumaczki wcale nie jest dla niej aż tak pasjonująca, a prócz tego pracodawcy, niestety, nie biją się o absolwentów indologii. Do swojego wykształcenia dodała stosunki międzynarodowe, aby pracować w ambasadzie. - I tu też nastąpiło rozczarowanie. Kiedy zobaczyłam, jak to wygląda od środka: niskie pensja, wieloletnia i niepewna droga w górę, zrozumiałam, że nie mogę sobie na to pozwolić - wyznaje.

Zacisnęła zęby i zaczęła pracować w banku, a potem w domu maklerskim, wreszcie we wsparciu sprzedaży w międzynarodowej korporacji. Wtedy przez przypadek zetknęła się z programowaniem - pomagała klientom obsługiwać kreator do tworzenia stron. Okazało się to bardziej fascynujące, niż przypuszczała. Pewnego dnia uznała, że fajnie by było samej wpisać kod, który stoi za gotowym kreatorem. Zapisła się na kurs programowania. Przyznaje, że przełom nastąpiłby jeszcze szybciej, gdyby ktoś wcześniej otworzył jej oczy na pewne rzeczy.

- Byłam dobra w uczeniu się języków obcych i do tego mnie zachęcano. Nikt mi nie powiedział, że języki obce są w pewnym sen-



Paula Januszkiewicz

się podobne do języków programowania i że to może być dla mnie ciekawa droga zawodowa. Szczególnie że w nauce języków obcych zawsze pociągała mnie logika, reguły, zasady podobne do tych, które obowiązują w programowaniu - tłumaczy Joanna.

W 2017 roku wzięła udział w konkursie. Miała kodować własny projekt i dokumentować pracę nad nim w formie bloga. Tak doszło do założenia jej własnego - „Wake up and Code”. - Pisałam o sobie i swojej drodze zawodowej, wzlotach i upadkach, o początkach pracy w IT i ścieżce, którą przesłałam, ażostałam front-end developerem. Chciałam pokazać, że kiedy masz dużo samozaparcia, wszystko jest możliwe - mówi.

Blog prędko stał się bardzo popularny. Temat był trafiony - mnóstwo kobiet działających dziś w branży IT wcześniej było kimś innym: nauczycielkami, artystkami, archeologkami, które zderzyły się ze ścianą na rynku pracy i musiały przebrnąć. Joanna, zachęcona sukcesem, stworzyła kursy online - jeden uczył tworzenia stron internetowych, drugi pokazywał, jak zmienić branżę i zostać junior front-end developerem. Pracowała już na całego jako programistka, a nadal zdarzało jej się usłyszeć: „Serio? Ty, humanistka? Ja bym się nigdy nie łądowała w coś tak technicznego!”. - Wtedy zaczęłam badać temat od strony „kobiety a świat IT” - mówi Joanna. - Trafiłam na wykład Reshmy Saujani na konferencji TED „Teach girls bravery, not perfec-

tion”. Mówiła o tym, że przyuczamy dziewczynki do perfekcji, do tego, żeby nigdy się nie myliły, a to często zamyka im drogę do technicznych zawodów, które wymagają upadania wiele razy i podnoszenia się, próbowania od nowa. Pomyślałam, że może zrobię coś dla kobiet, które podobnie jak ja nie myślały, że mogą zostać programistkami. Nawet nie dlatego, że ktoś im mówił, że to niemożliwe, ale przez to, że nie widziały wokół siebie kobiet wykonujących techniczne zawody.

Tak narodziła się jej grupa na Facebooku „Programuj, dziewczyno!”, która dziś ma 30 tys. członków. - Jak widać, dużo kobiet chce kodować. To branża jak każda inna, dobra dla obu płci.

- To nie tak, że w programowaniu odnajdą się tylko geeki - przekonuje Joanna. - To zawód rzemieślniczy, wymagający ciągłej nauki i umiejętności znoszenia frustracji. Kryzys w trakcie programowania to normalna rzecz. Przez większość czasu programista tak naprawdę czyta kod i rozkminia, jak rozwiązać problem. Często utyka. Sama wiele razy chciałam rzucić wszystko w diabły i wyjechać w Bieszczady. Zamiast tego nauczyłam się radzić sobie z niemocą i dalej próbować.

WAKACJE W SERWEROWNI

Paula Januszkiewicz pierwszy komputer dostała jako dziecko. To były czasy Commodore i Amigi, ale mama sprezentowała

jej składanego PC. Najpierw na nim grała, prędko jednak zainteresowała się tym, jak działa. Już w podstawówce administrowała siecią osiedlową, a w liceum jej pasja rozkręciła się na całego. – Zamiast wyjeżdżać na wakacje, siedziałam w serwerowni. Bardziej niż odpoczynek interesowały mnie tajniki funkcjonowania systemów operacyjnych i sieci – wspomina Paula.

Studia wybrała zgodnie ze swoją pasją – informatykę. Dołożyła do nich podyplomowe z bezpieczeństwa informacji i – żeby nabyć kontekstu biznesowego – General Management Program na Harvard Business School. Odkryła, że coraz bardziej interesuje ją testowanie zabezpieczeń firm. – Cyberbezpieczeństwo było wówczas nową dziedziną, która mnie zafascynowała. Robiłam wszystko, aby wgrzyć się temat. Nic nie mogło mi umknąć – mówi.

Jej droga do tak zwanej pozytywnej hakerki, czyli testowania, czy łatwo złamać zabezpieczenia firm, m.in. banków, była krótka, bo Paula już 15 lat temu w pojedynkę założyła firmę CQURE, która dziś zatrudnia 50 osób i działa w Warszawie, Zurychu, Nowym Jorku i Dubaju. – Co robimy? Przeprowadzamy kontrolowane ataki na infrastrukturę informatyczną organizacji. Naszymi klientami są na przykład banki, które chcą się dowiedzieć, czy jest u nich dobrze zabezpieczona, i zlecają nam tzw. testy penetracyjne, które mają to sprawdzić. Dzięki temu można potem poprawić swoje zabezpieczenia. Przeprowadzamy również śledztwa po atakach, a na podstawie zebranej wiedzy piszemy narzędzia i tworzymy case studies, które prezentujemy na światowych konferencjach – tłumaczy Paula.

Jej klientami są dziś nie tylko banki, ale też instytucje czy organizacje o różnym profilu, nawet siły zbrojne. Błędy? Zdarzały się, ale przekuła je w sukces. – Upadki dają mi tylko kopa do działania. Błędy są przecież potrzebne, dzięki nim mogę lepiej przewidywać przyszłość i reagować na to, co nadchodzi.

Jako mówczyni wystąpiła na tyłu konferencjach, że trudno je wszystkie wymienić. W San Francisco słuchało jej 40 tys. osób. Do tego jako wybitna, światowa ekspertka w dziedzinie cyberbezpieczeństwa jest wśród



nielicznych, którzy mają dostęp do kodu źródłowego Windowsa. – Jakie to uczucie być jedyną Polką, która to ma? Zapewne takie samo jak być jedyną Chinką albo Niemką. Narodowość nie ma wielkiego znaczenia w świecie cyberbezpieczeństwa – śmieje się.

Płeć ma znaczenie nieco większe, ale Paula nigdy nie pozwalała, by stereotypy czy uszczypliwe komentarze przeszkadzały jej w rozwoju. Woli się skupiać na pozytywnych przykładach. – Mamy wiele kobiet sukcesu w branży technologicznej, tylko nadal za mało o nich słycać. Szkoda, bo to by zachęciło inne. Sama bardzo zachęcam! Ale tak naprawdę moim marzeniem jest to, byśmy przestali się zastanawiać, kto jakiej jest płci czy jak wygląda, a skupili na tym, co ma do powiedzenia na interesujący nas temat – mówi.

CORAZ LEPIEJ

Jak naprawdę wygląda dziś sytuacja polskich kobiet w branży IT? Dr Bianka Siwińska, CEO Fundacji Edukacyjnej „Perspektywy”, która organizuje m.in. konferencję „Perspektywy Women in Tech Summit”, największe europejskie wydarzenie dla kobiet w technologiach, mówi, że coraz lepiej. Według raportu „Kobiety na politechnikach 2023” stanowią one 15 proc. studentów kierunków informatycznych. Dodaje, że wynik ten oczywiście nie wydaje się aż tak impo-

nujący, ale kiedy podkreślimy, że w ostatnich pięciu latach liczba kobiet studiujących kierunki informatyczne wzrosła w skali Polski aż o 54 proc., to mamy inny obraz. – Kobiety coraz bardziej interesują się karierą w branży IT, bo zdają sobie sprawę, że daje ona niezależność finansową i stawia je w dobrej sytuacji na rynku pracy – mówi dr Siwińska. – Nadal jest ich, niestety, za mało, bo stanowią zaledwie 15,5 proc. pracowników branży IT. Co ciekawe, jedynie co czwarta legitymuje się wykształceniem kierunkowym, czyli większość dołączyła do branży w wyniku przebranżowienia. I niestety, nie pracują też na stanowiskach kluczowych, tylko tych wymagających mniej złożonych umiejętności.

Stykają się też nadal z seksizmem i uprzedzeniami. Powołując się na badanie „Kobiety w technologiach

2020”, dr Siwińska wskazuje, że najpierw na studiach trzy czwarte z nich słyszy szowinistyczne komentarze od wykładowców, a potem w miejscu pracy od kolegów. – Wiele branż technologicznych jest wciąż bardzo zamkniętych na kobiety i nie chce im powierzać kluczowych stanowisk.

Fundacja Perspektywy jako jedna z wielu chce to zmienić. – Działamy w ramach takich programów jak „IT for SHE” i „Nowe technologie dla dziewczyn”. Oferujemy stypendia finansowe, mentoringi, szkolenia branżowe. Walczymy ze stereotypami dotyczącymi roli kobiet w społeczeństwie. Zachęcamy je do wyboru edukacji w obszarze STEM, a zwłaszcza IT, który dziś, w dobie digitalizacji, jest kluczowy. Pomagamy im wejść na rynek i zrobić karierę.

A jakie są dziś najpilniejsze działania? – Trzeba walczyć ze stereotypami, dążyć do równej płacy i równego wykorzystania urlopów – mówi Bianka Siwińska. – Dostarczać dziewczynkom historie kobiet, które są programistkami, inżynierkami, naukowczyniami. I same kobiety muszą walczyć o to, by poczuć się pewniej. Aby technologie lepiej odpowiadały na potrzeby ludzkości, musi być w nich więcej kobiet. Przecież jeśli nauka jest reprezentowana przez białych mężczyzn – jak to miało miejsce do tej pory – nie odnosi się do całego spektrum problemów, z jakimi boryka się świat w swojej różnorodności. ♦

OGŁOSZENIE



„Wysokie Obcasy” od 2020 roku realizują projekt #Nieustraszona w pracy. Podkreślamy w nim, jak ważne są odwaga, siła, konsekwencja i wspieranie się kobiet, które wciąż muszą walczyć o to, by na rynku pracy traktowano je na równi z mężczyznami. W tegorocznej odsłonie pokażemy m.in. kobiecą perspektywę w tzw. męskich zawodach. Powołamy kapitułę, która wybierze Nieustraszoną w Pracy 2023. Swoją głos będą mieli również czytelnicy. Zwińczeniem akcji będzie uroczysta gala i wręczenie nagród. Więcej szczegółów pod adresem: [Wysokieobcasy.pl/nieustraszona-w-pracy](https://wysokieobcasy.pl/nieustraszona-w-pracy)

ORGANIZATORZY:

wysokieobcasy.pl



PARTNER STRATEGICZNY:

STATE STREET

Nawadniaj się *powoli*

Upał sprzyja odwodnieniu, a ono jest nie tylko niebezpieczne dla zdrowia, ale też pogarsza samopoczucie i kreatywność

TEKST ALEKSANDRA
MIJAKOSKA-SIEMION

Woda jest tania i zdrowa. Picie jej to skuteczny sposób na nawodnienie organizmu. Zalecenia medyczne mówią, by dorośli pili co najmniej dwa litry wody dziennie. Jednak picie dużych ilości wody wcale nie jest najlepszym ani najszybszym sposobem na nawodnienie organizmu. Zacznijmy od sprawdzianu. Co się dzieje, gdy wypijesz pół litra wody w ciągu godziny? Jeśli po jej wypiciu wydalasz w ciągu dwóch godzin bardzo dużo moczu i jest on niemalże bezbarwny, oznacza to, że wcale się nie nawadniasz. Jak wynika z licznych badań, woda ma tendencję do prześlizgiwania się przez układ pokarmowy, jeśli nie towarzyszy jej jedzenie lub składniki odżywcze. Dzieje się tak, zwłaszcza gdy pijemy dużo wody na pusty żołądek.

CZY WODA NAWADNIA?

W badaniu z 2015 r. opublikowanym w „American Journal of Clinical Nutrition” naukowcy porównali krótkoterminowe efekty nawodnienia kilkunastu różnych napojów – od zwykłej wody i napojów dla sportowców, przez mleko, herbatę i piwo, po specjalnie opracowany „roztwór nawadniający”. Na podstawie analiz moczu zebranego od ochotników doszli do wniosku, że kilka napojów – w tym mleko, herbata i sok pomarańczowy, ale nie napoje dla sportowców – było bardziej nawilżających niż woda.

Autorzy badania napisali, że na stopień nawadniających właściwości płynów wpływ ma kilka czynników, m.in. zawartość składników odżywczych oraz właściwości moczopędne napojów. Spożywanie wody wraz z aminokwasami, tłuszczami i minerałami wydaje się pomagać organizmowi w pobieraniu i zatrzymywaniu wody – a tym samym w utrzymaniu lepszego poziomu nawodnienia. To szczególnie ważne po ćwiczeniach i okresach obfitego pocenia się. Jeśli więc pijemy dużo wody, ale nie jemy, to prawdopodobnie większość wody wydalamy. Co więcej, obfite picie wody wcale nie „czyści” organizmu z toksyn. Wprawdzie mocz transportuje che-



FOT. SHUTTERSTOCK

miczne produkty uboczne i odpady z organizmu, ale picie dużej ilości wody na pusty żołądek wcale nie poprawia procesu oczyszczania. W rzadkich przypadkach nadmierne spożycie wody może być nawet szkodliwe. I tak u osób, które intensywnie ćwiczą, picie samej wody może powodować wydalanie zbyt dużo sodu z moczem i doprowadzić do braku równowagi w poziomie sodu w organizmie. Taka nierównowaga określana jest jako hiponatremia.

Istnieją lepsze sposoby na nawodnienie ciała i mózgu niż picie wody przez cały dzień. Popijanie wody (lub innego napoju) po trochu zapobiega „przeciążeniu” nerek, a tym samym pomaga organizmowi zatrzymać więcej H₂O. Picie wody przed posiłkiem lub przekąską albo w ich trakcie to kolejny dobry sposób na nawodnienie.

Badania wykazują, że podczas wzmożonego wysiłku fizycznego najlepszy efekt nawodnienia osiągany jest wtedy, gdy wodą popija się owoce. Pod tym względem bezkonkurencyjne są banany, które idealnie równoważą poziom potasu i pomagają organizmowi zregenerować się po wysiłku. ♦

Potrzebujemy wody, by przetrwać, dobrze się czuć, być zdrowym i dobrze wyglądać. Woda może leczyć ciało i umysł. Może też pobudzać i inspirować.

Z myślą o tym, by przypomnieć, jak jest ważna, powstał projekt „Naturalnie woda”. Zachęcamy w nim nie tylko do picia wody, ale też przypominamy, dlaczego jest jedną z najbardziej drogocennych rzeczy na planecie.

Mówimy o tym, że badania dotyczące jej jakości i czystości pozwalają nam mieć w zasięgu ręki najlepszą wodę, a także o tym, by wybierać najbardziej ekologiczną opcję, czyli wodę kranową.

OGŁOSZENIE

naturalnie
WODA

ORGANIZATORZY:
wysokieobcasy.pl

wyborcza.pl

PARTNER:
AQUAPHOR
water filters

Wino królów i czarne złoto

Cypryjczycy lubią jeść w dużym gronie rodziny i przyjaciół. Turystów zaskoczyć może liczba meze, czyli rozmaitych zakąsek, i mięsnych potraw



FOT. CHRYSO LEFOU

TEKST I ZDJĘCIA MAGDALENA GORLAS

Na Cyprze czas jest wszystkim” – pisał Lawrence Durrell w książce „Gorzkie cytryny Cypru”. Wyspa oferuje kulinaria, którymi dobrze cieszyć się bez pośpiechu. Miałam okazję tego doświadczyć.

Maria zaprasza nas do stołu nakrytego ceratą w kolorowe kwiaty. Siadamy na werandzie małej restauracji będącej częścią farmy Loulli we wsi Choirokoitia. Przede mną rozciąga się widok na łagodne wzgórza z drzewami oliwnymi. Po podwórku biegają kozy. Farma Loulli, czyli mamy Marii, należy do rodziny, która od pokoleń w małej manufakturze wytwarza ser halloumi, dumę narodową Cypryjczyków. Na wyspie Afrodyty robienie tego sera opanowano do perfekcji. Do jego produkcji wykorzystuje się mieszaninę świeżego mleka koziego i owczego, czasami dodaje się też mleka krowiego.

Maria kładzie na stole talerzyk ze świeżym halloumi, grzanki, koszyk mandarynek, czarne oliwki, pokrojone ogórki i pomidory. Nakładam sobie na talerz ser, dodaję grzankę, warzywa i polewam oliwą. Halloumi jest sycący, ale ja uwielbiam ten ser. W wersji grillowanej czy jako nadzienie pierożków ravioli. Po chwili Maria stawia przede mną anari, czyli cypryjską ricottę, ser produkowany z mleka odcedzanego podczas wytwarzania halloumi. Najlepiej smakuje na słodko – z miodem lub gęstym syropem z owoców drzewa karobowego. Ciemny sos jest słodki i ma karmelowy posmak. – Nazywany jest czarnym złotem Cypru – mówi Ewa, moja przewodniczka. – Ta pochodząca z Bliskiego Wschodu roślina doskonale zaaklimatyzowała się na Cyprze. Dawała dużo owoców i zapewniała bogactwo mieszkańcom wyspy.

Dokładam sobie kilka kawałków łagodnego w smaku anari i od serca polewam syropem. Idealna przekąska na koniec śniadania.

MEZE I BURSZTYNOWE WINO

Jedziemy dalej krętymi drogami, czasami pod górę, czasami w dół. Mijamy wzgórza porośnięte winoroślami. Wyspa słynie z tradycji winiarstwa. Przebiega przez nią siedem winnych szlaków, np. Laona-Akamas. We wszystkich okęgach produkuje się białe i czerwone wina. Ale to najślawniejsze na Cyprze, czyli commandaria, ma kolor bursztynu. To najstarsze na świecie wino, nazwane przez Ryszarda Lwie Serce „winem królów i królem win”. Produkowane jest na Cyprze tylko w 14 wioskach. „Wino królów” ma smak, w którym przeplatają się aromaty suszonych owoców, przypraw i dębu. Jest bardzo słodkie.

Dojeżdżamy do tawerny Marii w wiosce Vavatsinia. To kolejne miejsce od lat prowadzone przez jedną rodzinę. Za chwilę spróbujemy meze, czyli zakąsek. Zaczynam od sałatki cypryjskiej, u nas znanej jako grecka, tylko z serem halloumi zamiast fety i czasami z dodatkiem sałaty. Na małych talerzykach pojawiają się tzatziki, tahini, oliwki, halloumi w wersji grillowanej, pieczywo, kasza bulgur z przyprawami i cukinia w panierce. To dopiero połowa uczy. Kolejne potrawy to keftedes, czyli kulki z mielonego mięsa wieprzowego doprawione ziołami. Najbardziej smakują, kiedy soczyscie obtaczam je w tzatzikach. W końcu danie głównie – królowa afelia, potrawa narodowa, którą Cypryjczyki traktują jak świętość. To gulasz wieprzowy, który dzięki długiemu i powolnemu gotowaniu w czerwonym winie z dodatkiem ziaren kolendry sprawia, że mięso

jest delikatne, soczyste i aromatyczne. Nakładam tylko kawałeczek, ale Ewa je ze smakiem kolejne porcje. Mieszka na Cyprze od ponad 20 lat i nie zaskakuje jej tak duża ilość dań i potraw z mięsa. Jakby na potwierdzenie tego przed nami łąduje klefiko, czyli cielęcina zapiekana z warzywami, spotykana też bardzo często w Grecji, oraz grillowany kurczak. Ewa nakłada porcję i opowiada, że kuchnia Cypru jest mieszanką wielu wpływów. – Na przykład szaszłyki souvlaki są zaliczane do tradycyjnych potraw zarówno na Cyprze, jak i w Grecji. Podobnie jest z moussaką. Z kolei kofty pochodzą z kuchni bliskowschodniej.

Doliczyłam się 13 dań, a muszę zostawić miejsce na deser. Nie wiem, jakim cudem zjadłam dwa ciastka bourekia, które po brzegi wypełnia anari wymieszane z cynamonem. Są przepyszne, obsypane cukrem pudrem i lekko ociekające olejem.

NOCNE BIESIADOWANIE

Po tej uczcie trudno mi sobie wyobrazić, że cokolwiek będę jeszcze jadła tego dnia. Ale kiedy nastaje wieczór i robi się ciemno, mieszkańcy udają się na kolejne meze. Do tawerny Kyra Giorgena idziemy spacerem, mijając po drodze cerkiew św. Łazarza. Cypryjczyki lubią jeść w dużym gronie, często rodzinnym. Wieczorne meze zaczyna się od małych talerzyków z hummusem, tzatzikami, oliwkami, sałatką grecką, grillowanym halloumi, pastą z fety i papryki oraz pitą. Nakładam sobie saganaki, czyli pieczoną fetę z pomidorami. Jest aromatyczna. Za chwilę na stole pojawia się parująca wątróbka wołowa w kawałkach i pastourmas, czyli tradycyjne pikantne kielbasy z wołowiny i czerwonej papryki. Podawane są najczęściej z grilla. Wyczerpałam możliwości swojego żołądka na ten dzień, ale nie zabawy. Jak na zawołanie tawernę wypełnia muzyka grana na żywo. Przekonuję się, co oznacza cypryjskie celebrowanie wspólnego czasu.

RÓŻANA WODA I SŁODKA KAWA

Następnego dnia jedziemy do Agros, małej wioski przepięknie położonej na wysokości ponad tysiąca metrów w środkowej części wyspy, otoczonej górami Troodos. Domy schodzą tu kaskadowo, tworząc bardzo fotogeniczne kadry. Wieś słynie z plantacji róż, z których wytwarza się wodę różaną. Najczęściej dodaje się ją do deserów takich jak loukoumades, czyli małe pączki, albo do najpopularniejszego cypryjskiego deseru mahalebi, kremowego puddingu z mąki kukurydzianej i mleka. Jest miękki jak chmurka. Najlepiej smakują z kawą metrios, czyli średnio słodką i gęstą. Po deserze mam już tylko ochotę na cypryjskie owoce. Taka orzeźwiająca, soczysta przekąska to idealne zakończenie tej wypełnionej słońcem i smakami podróży. ♦

LOUKOUMADES

od Chryso Lefou (zawczyni kuchni cypryjskiej)

1 kg mąki pszennej, **1 łyżeczka** soli, **3 łyżeczki** (11 g) suchych drożdży, **2 łyżeczki** cukru waniliowego, **1/2 filiżanki** do espresso (50 ml) wody różanej, **5 filiżanek** do herbaty (1250 ml) letniej wody

Syrop: 1 kg cukru, **3 i 1/2 szklanki** (875 ml) wody, **1 laska** cynamonu, **8-10 goździków**, **1/2 filiżanki** do espresso (50 ml) wody różanej

Najpierw przygotowujemy syrop. Umieść garnek na ogniu i dodaj wodę, cukier, cynamon i goździki i mieszaj, aż cukier się rozpuści. Następnie zmniejsz ogień i kontynuuj mieszanie przez kolejne 5 minut. Wyłącz i dolej wodę

różaną, pomieszaj i zostaw syrop do ostygnięcia.

Ciasto: w dużej misce wymieszaj mąkę i sól. Dodaj suche drożdże oraz wanilię i wymieszaj.

Wlej wodę różaną i powoli letnią wodę. Mieszaj dłońmi tak, aby ciasto było puszyste. Kontynuuj przez 5 minut, aż zobaczysz duże bąbelki na powierzchni. Odstaw na półtorej godziny, aż ciasto napęcznieje i podwoi swoją objętość. Jest gotowe, gdy pojawią się na nim duże bąbelki.

Do smażenia najlepszy jest garnek, do którego wlej dużo oleju roślinnego. Podgrzewaj, aż olej

będzie naprawdę ciepły, ale nie zbyt gorący, bo wtedy loukoumades będą się palić na zewnątrz, a w środku zostaną surowe.

Do oddzielnego kubka nalej trochę oleju, w którym zanurz dużą łyżkę. Następnie nabieraj ręką porcję ciasta i wyciskaj je do góry, a masę, która wyszła, odcinaj łyżką i kulki wrzucaj do garnka z olejem. Pączki smaź na złoty kolor z obu stron. Po usmażeniu osusz je z oleju i umieść w syropie. Dociśnij do syropu i pozwól im go wchłaniać przez 1-2 minuty. Następnie przełóż pączki na sitko, aby usunąć nadmiar syropu. Podawaj gorące.

Wojna to nie jest „story”

Kseniia, moja koleżanka wolontariuszka, powiedziała nam, że dla niej ta wojna to jest zagrożenie egzystencjalne. To zdanie zmieniło moje postrzeżenie tej wojny

Z MARKIEM M. BEREZOWSKIM
ROZMAWIA MAGDALENA GORLAS
ZDJĘCIA MAREK M. BEREZOWSKI

O

Od kiedy jeździsz do Ukrainy?

Od 2005 roku. Pierwszy raz byłem u swojego ojca chrzestnego Antoniego Soduły, który we wsi Emilczyn na Wołyniu uczył języka polskiego. To takie miejsce, do którego raczej się nie jeździ. Pamiętam stamtąd piękne drewniane chatki, co jest przykładem romantyzowania rzeczywistości - to się często zdarza, kiedy oglądasz ją z zewnątrz. Tak naprawdę ludzie, którzy w nich mieszkali, woleli bloki, gdzie mieliby bieżącą wodę i wyższy standard życia.

Potem wróciłem do Ukrainy już jako student antropologii, na badania w miejscowości Śniatyn, która przed drugą wojną światową była ostatnią miejscowością w ramach II RP przed granicą z Rumunią. Od 2015 roku dokumentuję wojnę w Donbasie. Wtedy jeszcze z mniejszą intensywnością, przez co łatwiej było wracać z wyjazdów. Na początku głównie skupiłem się na Mariupolu, ówczesnie największym mieście po ukraińskiej stronie linii frontu w Donbasie. W 2017 roku z moją przyjaciółką fotografką Simoną Supino byłem dwukrotnie w okupowanym przez prosyjskich separatystów Doniecku. W międzyczasie byłem tam jeszcze parę razy, ale na dłużej wróciłem już w lutym 2022 roku, kiedy wybuchła pełnoskalowa wojna. Sam byłem zaskoczony, że do tego doszło. Myślałem, że Putin tylko gra, a wojna wyescaluje ponownie „jedynie” w samym Donbasie. Najpierw jednak chciałem skończyć tematy pandemiczne, którym poświęciłem dwa lata, tworząc projekt „Not a Black Swan”. I nagle

Rosja zaatakowała Ukrainę. Pojechałem do Kijowa pierwszego dnia wojny.

Po wybuchu wojny w 2022 roku spędziłeś w Ukrainie do tej pory, z przerwami, ponad pół roku. Wojna wciąga?

Na to nie ma prostej odpowiedzi. Myśl o tym, że w kraju obok jest wojna, od początku nie wydawała mi się czymś, do czego należy się przyzwyczaić. Od wielu lat obserwuję, że nasza rola, rola dziennikarzy, się zmienia. Moim zdaniem nie chodzi „tylko” o to, by być świadkiem i informować opinię publiczną, ale by też tłumaczyć czy problematyzować, a to wymaga zaangażowania w jeden temat. Wolę więc skupić się na tym, niż skakać z tematu na temat. Dziennikarze, jadąc na wojnę z innego kraju, zazwyczaj traktują ją jak histo-



MAREK M. BEREZOWSKI

– fotoreporter, absolwent fotografii w Łódzkiej Szkole Filmowej oraz Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej na UW. Preferuje długoterminowe projekty dokumentalne, autor m.in.: „Blast” o wojnie w Ukrainie (od 2015 r.), „Not a Black Swan” o epidemii COVID-19 w Polsce (2020-22), fotoksiążki „Citymorphosis” o metropoliach w Polsce, Chinach, Rosji i Niemczech (2013-17), która ukazała się w 2017 r. Jego prace znajdują się w kolekcji Narodowego Instytutu Architektury i Urbanistyki. Nagrodzony m.in. w konkursach prasowych Grand Press Photo 2022 i 2023, BZ WBK Press Foto 2014 i 2016, Newsreportaż 2008

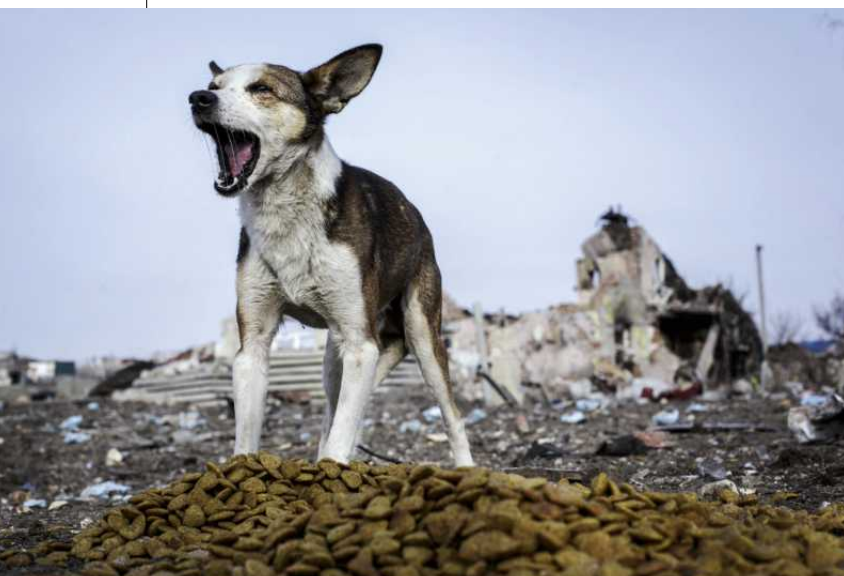
rie do opowiedzenia. Tymczasem wojna to nie są historie. W grudniu 2022 w kawiarni w Kijowie moja koleżanka Kseniia, wolontariuszka, powiedziała nam, że dla niej ta wojna to jest zagrożenie egzystencjalne. To zdanie zmieniło moje postrzeżenie tej wojny. To jest zagrożenie egzystencjalne, a my, dziennikarze, zamieniamy to w historie. Jest to z jednej strony konieczne z zawodowego punktu widzenia, a z drugiej - jednak straszne, bo wojna to nie jest „story” ani przygoda. Jednak jeśli się tam było i zobaczyło różne rzeczy, to powrót do niej, póki ona trwa, jest częścią zobowiązania etycznego. Natomiast konieczne są przerwy, nawet żołnierze czy służby medyczne je mają.

Co zmienia wojna w tobie, kiedy przyglądasz się jej z bliska?

Jesteśmy przyzwyczajeni do tematu wojny pokazywanej w filmach, często przedstawianej jako coś pięknego i heroicznego, ale to jest obraz przefiltrowany przez pryzmat kultury popularnej. A wojna jest straszna i brutalna. Nie wydawała i nadal nie wydaje mi się czymś oczywistym i akceptowalnym. Z mojej perspektywy wojna nie jest też stałą. Przez osiem lat, od pierwszego przyjazdu do Donbasu, zobaczyłem, jak ten konflikt się zmienił, jego skala, brutalizacja. Zmieniam się również ja, moja wiedza oraz moja intensywność wyjazdów do Ukrainy. Niektórzy dziennikarze jeżdżą od wojny do wojny, dla nich nie jest ważne, czy to jest Ukraina, Syria czy Sudan. Jest wojna, jest zainteresowanie mediów, są więc stawki i publikacje. Sam sobie tego nie wyobrażam, każdy temat moim zdaniem wymaga tego, żeby traktować go poważnie i oddzielnie. Gdy zajmuję się wojną, to staram się jak najwięcej rozumieć, szukać informacji i czytać na ten temat. Przyglądanie się wojnie z bliska wymaga przede wszystkim empatii i zaangażowania. W rozumieniu nie chodzi tylko o język, ale przede wszystkim o otwartość na ludzi, znajomość symboli i historii, wiedzę o tym,



Ewakuacja podkijowskiego Irpinia, marzec 2022 r.
Powyżej: Luty 2023 r. - bitwa o Bachmut była najdłuższą operacją
wojskową od początku rosyjskiej inwazji



jak funkcjonuje kraj i społeczeństwo. Ważne też, aby zwracać uwagę na kontekst, znaczenie tego, co się pokazuje i o czym informuje. Na tym też moim zdaniem polega odpowiedzialność dziennikarza.

Było zdjęcie, którego nie zrobiłeś?

Było wiele takich zdjęć. W Bachmucie miałem zaprzyjaźnioną rodzinę mleczarzy, którą często odwiedzałem. Czasami trudno było mi wyjąć aparat, dla nich ważne było to, że ktoś przychodzi i można mu się wygadać. To zmieniało relacje i sens tych wizyt. Raz nie zrobiłem u nich żadnego zdjęcia, bo uznałem, że ważniejsze jest, żeby być. Poza tym jest różnica między jego zrobieniem a opublikowaniem. Są sytuacje, w których zamiast robić zdjęcia, można zmienić coś w życiu kogoś. Trudno mi powiedzieć: jestem dziennikarzem, tylko informuję lub pokazuję. Moim zdaniem fotoreporter w pierwszej kolejności musi być człowiekiem.

Baleś się na wojnie w Ukrainie?

Oczywiście tak i na szczęście tak. Pamiętam, jak przyjechałam w 2015 roku do Mariupola. Zima, centrum miasta, jakieś dwa tygodnie po ostrzale rakietowym wschodniej dzielnicy. Atmosfera w mieście była dosyć przynębiająca, obawiano się szturmów. Potem pojechałam jeszcze wiosną i latem i już tej obawy nie było. Słońce, morze, ludzie na plaży, a wojna obok, zresztą było ją słyhać. To pokazuje, że człowiek może się przyzwyczaić do życia w strachu. Kiedyś w Bachmucie siedziałem w samochodzie z widokiem na park, w który co chwilę uderzały pociski moździerzowe. I widzę idącą kobietę, która musiała widzieć to co ja, przeszła, a kilkanaście metrów za nią przeleciał kolejny pocisk. Ona wciąż szła dalej, nawet się nie odwróciła. Są ludzie, którzy przyzwyczajają się do tego stopnia, że przestają się przejmować. To jest jednak stopniowy proces. Moim zdaniem, aby funkcjonować

w rzeczywistości wojennej i przeżyć, trzeba się jednak bać. Umiem przywykać, ale wiem też, kiedy zaczyna być to zagrożeniem. Zresztą jeśli przywykasz do realiów życia wojennego, to jednocześnie odwykasz o tego „zwykłego” życia. Czasem to oznacza już brak możliwości powrotu, a przynajmniej zostawia wyraźny ślad w psychice.

W którym momencie zacząłeś zwracać uwagę na los psów i innych zwierząt na wojnie i im pomagać?

Staram się pamiętać, co jest moim podstawowym zajęciem, ale jadąc do Ukrainy czy gdziekolwiek indziej, nie jestem wyabstrahowany i nie zaczynam być inną osobą. To jest kontinuum mnie, tego, kim jestem, mojego życia. Także w Irpiniu na początku wojny, kiedy widziałem psy porzucone lub bezdomne, trudno było mi powiedzieć: jestem dziennikarzem i koniec. Nie jechałem na wojnę do Ukrainy z założeniem, że będę ratować czy dokarmiać psy. Widząc to, co widziałem, robiłbym to samo w Polsce, tylko tam, w Ukrainie, skala jest o wiele większa. Bezdomnych zwierząt było już przed wojną bardzo dużo, a teraz jest ich więcej, bo są porzucone albo uciekły wystraszone na przykład wybuchami. To są dla mnie kolejne sytuacje, kiedy nie robię zdjęć, bo wolę działać. Zwracam uwagę na los tych psów, bo wiem, że biernością przyzwalam na ich cierpienie. Jeden pies z Irpinia trafił do moich rodziców jeszcze w kwietniu 2022. Mojego psa Carbó przywoziłem z Bachmutu w październiku. W grudniu, też z Bachmutu, przywoziłem suczkę, która znalazła kochany dom w Warszawie. W 2023 roku pomaganie psom w Donbasie już współdzieliłem z Kubą Stasiakiem, dziennikarzem wolontariuszem zaangażowanym w ewakuację cywili. Spędziliśmy tam razem prawie trzy miesiące.

W pewnym momencie jednak wróciłeś do Polski, gdy psy dotkliwie cię pogryzły.

To było podczas transportu psów z Irpinia do Kijowa. W małym samochodzie mieliśmy dużo rzeczy i kilka psów. Dwa w pewnym momencie zaczęły się gryźć na moich kolanach, a ja próbowałem je rozdzielić. W połowie drogi musieliśmy je, niestety, zostawić, bo moja ręka wymagała tego, żeby pojechać jak najszybciej do szpitala. W Kijowie zszyli mi ranę. Potem pojechaliśmy do Lwowa, gdzie w szpitalu ściągnęli dren. Nie winię tych psów, teraz jednak bardziej uważam. W Kramatorsku był pies, którego chciałem zabrać i podkarmić, ale kłapał ostrzegawczo zębami. Więc odpuściłem. Będąc daleko, z mieszkania w Warszawie staram się przypominać obserwującym moje media społecznościowe o sytuacji zwierzaków i możliwościach pomocy im.

Praca dokumentalisty, pomoc zwierzacom, pomoc w ewakuacji ludzi. Różne role w napiętym czasie. Czy ich łączenie ma wpływ na robienie zdjęć?

Z pewnością moim marzeniem, poza szybkim końcem wojny i przegraną państwa agresora, czyli Rosji, jest to, że będzie wystarczająco dużo wolontaryjnej pomocy w potrzebnych obszarach, a jako fotoreporter będę mógł się skupić na swojej dziennikarskiej pracy. Jednak to jest świat idealny, a on nie istnieje. Z mojej obserwacji rzeczywistości w Ukrainie wynika, że pomocy zawsze może być więcej. Oczywiście są wolontariusze, którzy pomagają ludziom czy zwierzętom, jednak skala potrzebnej pomocy przewyższa możliwości ludzi, którzy ją niosą. Najlepiej poznałem tę cyrkulację pomocy w Donbasie, bo tam spędziłem najwięcej czasu. I tam byłem równocześnie własnym kierowcą, fixerem, a tak wyszło, że również wolontariuszem od ewakuacji ludzi i wolontariuszem, który pomaga zwierzacom.

Oczywiście media powinny przede wszystkim dostarczać rzetelnej wiedzy o świecie,



Po lewej: Bachmut, luty 2023 r. Przed wojną miał ponad 700 tys. mieszkańców, nadal żyje tam ok. 7 tys. ludzi, w tym dzieci. Powyżej: Horenka, czerwiec 2022 r., obok widok z Kijowa w stronę Irpinia i Buczy

o tym, co dzieje się tam, gdzie nie mogą dotrzeć inni. Dla mnie jednak jako człowieka najważniejsze jest, aby robić to, co pomaga zredukować ilość cierpienia na świecie. Gdy widzę, że razem z moim teamem jesteśmy jedynymi osobami, które mogą pomóc, to w mojej piramidzie ważności spraw bycie dziennikarzem wizualnym jest drugorzędne. Czas, w którym mógłbym zrobić kolejne zdjęcie, wolę poświęcić na dokarmianie czy ratowanie zwierząt, aby mogły w ogóle przeżyć. Może brzmi to dziwnie z ust dziennikarza, ale to jest mój sposób na bycie nim.

Wojna w Ukrainie to nie jest tylko wojna geopolityczna czy o ziemię, to też walka o wolność i wartości, istotne jest więc, jakimi się kierujemy. Jeśli podjeżdżam do palącego się domu, to w pierwszej kolejności wołam, czy jest tam ktoś żywy, albo próbuję wejść, by

poszukać rannych. Im dłużej tam jestem, tym mniejszy mam problem z łączeniem tych ról, bo nieustannie trafiam na sytuacje, które wymagają poświęcenia czasu pracy dziennikarskiej. Reasumując, wydaje mi się, że czasem tego wymaga rzeczywistość w Ukrainie - łączenia różnych ról. Ukraina uczy elastyczności, przesuwania własnych granic. Kiedy jednak jadę do kolejnej wioski i zauważam, że nie mam już siły słuchać ludzkich historii, to znaczy, że chwilowo wyczerpałem swoje zasoby.

To znak, że trzeba wrócić do Polski?

To jest po prostu moment, w którym moja praca nie ma dalej sensu. Największym problemem jest, kiedy siedzisz w takim miejscu i włącza się określony tryb funkcjonowania. Bo to wszystko, co w Ukrainie widzi się, słyszy, przeżywa, jest na tyle trudne, że głowa w pewnym momencie się adaptuje i zaczyna się tworzyć skorupka, potem skorupa, a w końcu pancierz. I trzeba go ciągle rozbijać, żeby mieć kontakt ze swoimi emocjami, swoją empatią. Tak przynajmniej to czuję. Oczywiście mógłbym dalej robić newsowe zdjęcia, zdawkowo rozmawiać z ludźmi. Chodzi jed-

nak o to, że przychodzi moment, w którym wiesz, że już w sobie więcej nie pomieścisz.

Po powrocie do Polski jest życie przed wojną i po niej?

Nie, dla mnie to jest kontinuum. Różne sytuacje odciskają się na nas z różnych powodów. Być może za jakiś czas wrócę do jakiegoś innego tematu, na przykład architektury i przestrzeni. Bardzo lubię też taki rodzaj fotodokumentu, w którym nie ma ludzi. Wojna w Ukrainie może będzie jakąś cezurą. Temat ten dokumentuję najdłuższym jednym ciągiem, a w związku z tym z największym zaangażowaniem emocjonalnym.

Będziesz wracał do Ukrainy?

Nie mogę sobie „wyciąć” Ukrainy. Nie mam czegoś takiego, że z góry wykluczam, że tam nie pojedę. Trudno patrzeć na to, co się tam dzieje, i powiedzieć sobie: dość już tego dokumentowania. Wojna jest jednak czymś strasznym i okrutnym. Lepiej jej nigdy nie zobaczyć ani nie doświadczyć. I nigdy się do niej nie przyzwyczajając ani na żywo, ani w głupich grach czy filmach. ♦

REKLAMA

9. **Olsztyn green FESTIVAL**
• na Warmii i Mazurach •
11-12-13 sierpnia 2023



DAWID PODSIADŁO



NOSOWSKA

ZALEWSKI
ŚPIEWA NIEMENA

BRODKA

i inni

ORGANIZATORZY:

AGORA. wyborcza.pl

WSPÓŁORGANIZATOR:

OLSZTYN

PARTNER GŁÓWNY:

WARMIA I MAZURY

PARTNER STRATEGICZNY:

NAŁ NARĘCZOWIANKA

PARTNER STRATEGICZNY:

PERŁA

PARTNER EKO:

dobra energia

PARTNER TERENU:

OSIR

PARTNERZY:

Kinder bueno

MICHELIN

instax FUJIFILM

GARNIER

Alcon

TYMBARK

K

PATRONI MEDIALNE:

wyborcza.pl ZET AMS HELIOS WP Rytm.pl HIRO helios media CBM

BILETY:

eBilet empikybiletu Going BILETOMAT kicket

TIGER

Nulii

MPEC

budimex

zook

Auro

inko

ALCAR

61435469

SIÓDEMKA Z MADAGASKARU

Nowa linia pielęgnacyjna pro-age Oceanic AA LAAB do skóry dojrzałej poprawia wygląd cery i ją nawilża. Synergiczne działanie składników zapewnia skuteczną profilaktykę starzenia skóry bez ryzyka podrażnień. Zawiera opatentowany składnik Centella B12 – połączenie przeciwstarzeniowej wąkrotki azjatyckiej zbieranej na Madagaskarze i witaminy B12, która działa przeciwzapalnie, a także ceramidów. W linii jest siedem kosmetyków (ceny od 20,99 do 44,99 zł).



LEKKA PODRÓŻ

Doceniam wszystkie patenty, które pozwalają zmniejszyć bagaż podróżny. Szwajcarska marka przyborów do higieny jamy ustnej Curaprox stworzyła mini Travel Set. Jest w nim szczotka podróżna Curaprox CS 5460, minipasta i szczoteczka międzyzębowa (56,90 zł/curaprox.pl).



DO MASAŻU

Purite ma w ofercie nowy olejek do masażu z organicznym nierafinowanym olejem słonecznikowym, olejami z dzikiej róży i jojoba, olejkami eterycznymi: geraniowym, rozmarynowym i z różowego grejpfruta o działaniu antydepresyjnym. Purite, Yogasutra Line (250 ml / 89 zł).

GLADKIE STOPY

Kremy Herbus to moje odkrycie zeszłego roku. Polecałam balsam do ciała, a teraz pora na krem do stóp. Sprawia, że stopy wyglądają jak po zabiegu pedikiuru, nawet jeśli do salonu kosmetycznego nam nie po drodze. Zawiera babkę lancetowatą, 20 proc. mocznika i olejek z drzewa herbacianego (50 ml / 37 zł, herbuscosmetics.com).



ODBUDOWA MIKROBIOMU

Soraya stworzyła specjalistyczną linię kosmetyków odbudowujących barierę hydrolipidową skóry oraz jej mikrobiom. Prebiotyczne kremy na dzień i na noc przeznaczone są do pielęgnacji każdego rodzaju cery, również wrażliwej. Do wyboru nawilżający, balansujący i regenerujący. Zawierają prebiotyki (w postaci inuliny z korzenia cykorii) i biofermenty (50 ml / 13,99 zł).



Zseksualizowani

DOROTA
SUMIŃSKA



Chrońmy dzieci, wspierajmy rodziców” – tak brzmi tytuł projektu nowej obywatelskiej ustawy twardo popieranego przez PiS. Słyszałam wypowiedzi Pani Marszałek Witek i Pana Prezesa Kaczyńskiego i dowiedziałam się, czego dotyczy tak oczywista sprawa jak ochrona dzieci. Seksualizacji.

To, że trzeba chronić maluchy przed zagrożeniami płynącymi z dorosłego świata, jest normą zachowań wszystkich opiekunów. Tak samo oczywista jak zabezpieczenie balkonu przed wspinaczkowymi zapędami killkulatka. Jednak jeśli chodzi o seksualizację, tytuł powinien brzmieć: „Chrońmy dzieci przed klerem i wspierajmy w tym rodziców”. I kilka podtytułów: chrońmy dzieci przed internetową pornografią, przed wszechobecnym w internecie kultem przemocy, przed obojętnością opiekunów.

Samo słowo „seksualizacja” dla mnie brzmi podejrzenie, bo jak można seksualizować kogoś, kto już dysponuje swoją seksualnością. Można deprawować, wykorzystywać, molestować, ale seksualizować istotę seksualną trudno. Każda istota rozmnażająca się płciowo przychodzi na świat już „zseksualizowana”. I nie ma znaczenia, czy to człowiek, słoń czy myszka. Jeszcze w życiu płodowym kształtuje się jej seksualna tożsamość. Na początku życiowej drogi nie odgrywa jeszcze specjalnej roli, ale to nie znaczy, że jej nie ma.

Najlepszy, bo najbardziej zrozumiały jest przykład dzieci, u których tożsamość płciowa nie jest zgodna z anatomiczną budową. Gdy dorosną, mogą zechcieć wykonać uzgodnienie płci, ale nim to się stanie, buntują się przeciw traktowaniu ich niezgodnie z własnym odczuciem tożsamości seksualnej. Chłopcy „ubrani” w ciało dziewczynki przez błąd natury (ona też się czasem myli) bronią się przed sukienkami i lalkami. To samo dzieje się w drugiej stronie. Dziewczynki w chłopięcym ciele stronią od męskich zabawek i potajemnie przymierzają sukienki siostry. Są dziećmi, ale już doskonale czują swoją seksualność. Mam nadzieję, że twórcy projektu ustawy mają na myśli deprawowanie dzieci, a nie wychowywanie ich tak, by w przyszłości umiały cieszyć się swoją seksualnością.

Wiem, wiem, to płonna nadzieja, bo samo słowo „seksualizacja” ją niszczy. Na szczęście pośród innych gatunków seks nie jest tabu. Dzięki temu nie istnieje tam problem gwałtów czy seksualnego wykorzystywania istot niedorosłych. Pedofilia to problem gatunku *Homo sapiens*, i to tej jego części, która wyrosła na chrześcijańskich dogmatach. W ostatnich latach okazało się, że to problem powszechny. To przerażające. A do tego jest wynikiem braku edukacji. Wszystko, co ukryte jest za murem wstydlivej tajemnicy, a dotyczy własnego ciała, rodzi niezdrowy niepokój. Dzieci, z którymi nikt otwarcie nie rozmawia o ciele i tym, czego można po nim oczekiwać, szukają informacji nie u mamy, taty, nauczyciela, ale na stronach internetowych. I to tych, które nie są skierowane do nich. Od czasów dzieci kwiatów następowało stopniowe odchodzenie

od wizerunku grzesznej twarzy seksu. Jednak bardzo trudno w ciągu kilku dekad wymazać z umysłów wielowiekową „tradycję” strachu przed ujawnianiem potrzeb własnego ciała. Każdy psycholog i pedagog czy nawet znawca psiej duszy wie, że strach to zarzewie agresji. Sam w sobie nie likwiduje potrzeb spełnienia „zakazanych” pragnień, ale dzieje się coś odwrotnego – sprawia, że urastają one do ponadwymiarowych potrzeb, których realizacja też rośnie wysoko ponad gatunkową normę. Stąd biorą się dziwne zachowania seksualne tych osobników, którym założono „płciowy kaganiec”, i to bez względu na gatunek.

Jeszcze w ubiegłym stuleciu fundacja ratująca afrykańskie słonie postanowiła przeprowadzić eksperymentalne przywrócenie młodych słoni naturalnemu środowisku. Słonie dojrzewają emocjonalnie w podobnym wieku, w którym ludzie są zdolni do samodzielności. Między 18. a 21. rokiem życia. Do tego czasu przebywają w grupie rodzinnej, gdzie do-

Jeśli chodzi o seksualizację,
tytuł ustawy powinien
brzmieć: „*Chrońmy dzieci
przed klerem*”

rosłe słonice zajmują się ich edukacją. Potem samce idą „na swoje”, a samice pozostają z matką i innymi członkiniami grupy. Na afrykańską sawannę wypuszczono kilkanaście młodych samców, z założeniem, że te trochę starsze będą świecić przykładem dla młodszych. Ale jakim przykładem? Ani matka, ani babka czy ciotka nie nauczyła ich sloniowego życia. Wychowały się pośród innych sierot i ludzi. Na początku wszystko wyglądało poprawnie. Problemy zaczęły się, gdy słonie osiągnęły dojrzałość. Zaczęły robić coś, czego nie ujawniały nawet najstarsze afrykańskie badania nad tymi ssakami. Nie słyszeli o tym rodowici Afrykanie ani nie można było tego usłyszeć w najstarszych legendach. Traktowały nosorożce jako obiekty seksualnego zainteresowania i w konsekwencji oporu tychże zabijały je. Brak edukacji jest zabójczy nie tylko w obrębie tego gatunku. Edukacja musi obejmować swoim programem każdy aspekt życia. Żaden nie powinien być wstydlivy tylko dlatego, że w średniowieczu radość z seksu uznano za śmiertelny grzech. ♦

| Dorota Sumińska – lekarka weterynarii, publicystka



W sprzedaży

Ostatni mędrzec Ameryki.
O krętej drodze **Cormaca McCarthy'ego**
opowiada **Maciej Jarkowiec**

- + **Olga Tokarczuk** o powieści, którą kocha najbardziej
- + **Miasto, które się droczy**, czyli Warszawa według **Doroty Masłowskiej**
- + Nasz stały dodatek „**Książki dla dzieci i młodszych dorosłych**”